

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM XIV.

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1930

JAN KASPROWICZ

CHWILE

KRAKÓW

1930

CHWILA

I

SNUJE SIĘ WIATR PO POLU.

Snuje się wiatr po polu,
Wlecze się pośród żyta,
Gdzie chce, tam sobie wypocznie,
Nikogo się nie pyta.

W majowy czas, wieczorem,
Podkrada się pod drzewa,
Umilknie na leśnym okraju,
Albo w gałęziach śpiewa.

Snuje się wiatr ku bagnom,
Przechyla się nad rzeką:
Zamącił jej spokój srebrzysty
I w zorzę mknie daleką.

KOPICE SIANA PO ŁĄKACH.

Kopice siana po łąkach,
Gdzieś w głębi lśnią wierchów garby —
Słońce się rozzuchwala,
Iskrzące sieje skarby.

Pod stromem huczy urwiskiem
Dunajec, wieczysta rzeka,
Ciemne go świerki strzegą,
On z szumem od świerków ucieka.

W samo południe, w godzinie,
Skapanej w rozżarach złota,
Staje nad brzegiem potoku
Samotna ludzka tęsknota.

Wiążącą porzuca izbę,
Powieki zmęczone przetrze,
Piersiami pełnemi chłonie
Przewonne, ciepłe powietrze.

Ku dalom rwie się bezkreśnym,
W błękitów gubi się toni,
Lub z rozwartemi oczyma
Falne poszumy goni.

A fałdów jej sukni powiewnej
Czepia się dłońmi drżącemi
Żal cichy i szepce: Jak trudno
Rozstawać się z duszą tej ziemi...

GDY PRZYJDZIE CZAS.

Gdy przyjdzie czas, gdy przyjdzie czas
Odcodzić od pól tych i łąk,
Słońcu się nisko pokłonię,
Niebu pokłonię się w krag.

O Boże mój, o Boże mój! —
Tak szepnę usta wdzięcznemi:
Daleś mi wszystko, co mogłeś:
Zapach tej drogiej ziemi.

Żal będzie iść, żal będzie iść,
Ciężar zawiśnie u stóp,
Chyba, że w gór tych obliczu
Cichy sprawicie mi grób.

Tej roli piędź tej roli piędź
Ostatnią mi będzie ostoją:
Tu się mej duszy tęsknice
Na wieki wieków ukoją.

Zasnęły się sennie góry
W mgławą jesienną oponę —
Słońce nad nimi się pali,
Wyzłaca pola skoszone.

Kurz osiadł na jasionach,
Na brzozech liść się czerwieni —
O smutna godzino rozłąki,
O smutna, cicha jesieni!

Odchodzę, bo czas mnie woła...
Ślad po mnie czyż tu zostanie?
O góry, o pola skoszone,
O ciche, smutne żegnanie.

Chłop pokrzywiony, siwy,
Jak osadziały smrek,
Przystanął w pośrodku drogi,
Którą zna niemal wiek.

Rozgląda się naokoło,
W błękitny patrzy świat
I mamle: Toż samo to słońce,
Co świeci mi od lat?

Słońce się uśmiechnęło,
Uśmiechnął się stary człek
I dalej znów powlókł się drogą,
Którą zna niemal wiek.

A z wrzaskiem, z gałęzi klonu,
Zerwał się kawek chór:
Od ciemnych przyleciał tu borów
I w ciemny leci bór.

KILKA CHAŁUP, KILKA STODÓŁ.

Kilka chałup, kilka stodół,
Przy nich obórka czy chlew;
Na dachach śnieg wolno topnieje,
Opada z szarych drzew.

Wyszła dziewczka w brudnej chustce
Przed mokry, kamienny próg,
Z okapu ciurkają kropelki
Na czerwień bosych nóg.

Ziewa, gnuśnie się przeciąga,
Poprawia zczochrany splot,
Obok wychudłe legło psisko,
Pod ścianą mruczy kot.

W tem zapadłem, rajskim siole —
Pożal się Boże ty mój! —
Tęsknota ku wiośnie się spieszy,
A wiosna jej mówi: stój!...

ZAMYKAM OCZY.

Zamykam oczy
i oto widzę, jak się z wód przezroczy,
z cichych, głębokich wód
biały wychyla gród.

Widzę, jak mury,
z srebrnego ciosane granitu,
gubią się w taflach błękitu
u góry
i dołem...
Jak w nich podwójnem swem czołem
uwięzły wieże,
ciemną
przeciętą linią zwierciadła
nad ławą
dachów i kopuł i arkad i bram
z złocistej miedzi...

Wielką ja ciszę znam,
lecz takiej ciszy, co gdzieś tu usiadła
i siedzi,
niewidna oku,
i strzeże
tych ciężkich, zawartych wrótni,
nigdy ja do tej nie słyszałem pory.
Snać smutni,
jak zmory
własnego bojący się kroku.
mieszkają ludzie w tem mieście...

Lat dwieście
albo i trzysta lat
mógłby pochłonać rojny, gwarny świat,
a, zda się,
w tym rojnym i gwarnym czasie
niktby się tutaj nie uśmiechnął jeszcze.
Nawet cyprysy,
porastające ten pagórek łysy,
wsparty o powal granitowych ścian,
nigdy snąć dotąd nie popadły w dreszcze:
Jak czarne, olbrzymie igły,
ten kształt ich śmigły,
znieruchomiony,
tnie nieboskłony.

Nieśmiało,
choć ni sługa nikomu
ni pan,
o swoje państwo strwożony,
by się przypadkiem w proch nie rozsypało,
zanim do domu
wrócićby mógł,
stukam w miedziane wierzeje
od strony
rozległych dróg:
stuk! stuk! stuk!...

Dziwnie się dzieje
w tej schroni
mych snów...
Wiem:
nie młota-m,

głośniego użył, lecz dłoni,
cichszej od ciszy, co goni
blaski po toni,
nietkniętej
najłżejszych powiewów tchem...
Nikt się nie spytał „a kto tam?“
i „po co? mów!“
nie spadło na moją głowę,
lecz jak odmęty
głębokich mórz,
jak dwie olbrzymie cichej wody masy,
rozstały się dwie wrótnie spiżowe...
Któż je rozdzielił? Któż
zmysłem je rozwarł mych uszu i ocz:
Nie zgrzytnął w zamku klucz,
nie zaskrzypiały zawiasy,
nie zjawił się żaden stróż,
coby mnie wwiódł
w ten biały gród.

Przez cuda tych bram,
przez ten zlocisty spiż,
w którym, jak w lustrze klisz,
nieba odbija się krąg
i woda i bezmiar łąk
nadbrzeżnych,
wszedłem do miasta
sam
i chodzę,
oczom puściwszy wodze...
Co chwila wyrasta,
gmach,

w słonecznych, śnieżnych
skąpany skrach.
Naokół
jeden za drugim cokół
i balkon i gzems i szczyt,
z białych ciosane płyt,
w białym rzeźbione marmurze...
Szerokie, duże,
ulice, place
co chwila z przed oczu tracę,
albowiem nowy co chwila
świat się wychyla
przedemną —
wspaniały,
kamienny świat!
Pracą wzajemną
tysiące go lat
budowały...

Gdy przed moimi zamkniętymi oczu
wylaniał się z głębin przezroczy
ten gród,
niewielkim kastelem się zdał,
w głaźny ujętym wał,
wystzelający z wód.
A teraz mi rósł
w coraz to większy, ogromniejszy cud,
w coraz to szerszem rozwijał się kole.
Jak gdyby wszystkie miał rozsadzić tamy,
coraz to dłuższe od bramy do bramy
wycinał drogi —
nieznany popędzał go mus...

W tem mieście, rozległem,
jak niekielzanej wyobraźni pole,
zgromadzającej swe plony
na jawie, czy w snach,
przez dzień czy miesiąc, przez rok czy też wiek,
dopiero później spostrzegłem,
zdumiony,
iż żaden nie minął mnie wóz,
żaden nie spotkał mnie człek.
Najpierw ogarnął mnie strach,
czułem dłoń twogi
na sobie,
jak gdybym nagle stał przy jakimś grobie.
Zdawało mi się, że w oczu mi błyska
jakowaś biel cmentarzyska,
że w tem widzeniu skrawem
kamiennych pomników stos
w nieziemskim się pali
pożarze.
Ale niebawem
chciwy, radosny, wesoly
w wnętrzu się mojem ozwał głos,
że te kościoły,
w które mnie losy
zawiodły,
ślą jakieś dotąd niesłyszane modły
w niebiosy;
że w sali,
którą nieznani dla mnie zbudowali
mocarze,
nad nowem prawem
w płomiennej mowie

plomienni rajcują rajcowie;
że w kuźni,
co swym ogromem
żrenicom mym bluźni,
a w której nagle okna mi rozblęły,
śródmiejskiej roboty
tysięczne padają młoty,
że tylko me zmysły
w swoim kalectwie widomem
ani nie widzą ni słyszą,
jakie potęgi dyszą
w tym grodzie...

A może to jedna z złud,
którymi człek się tumani,
do niezmierzonej przystani
po wielkiej płynącej wodzie,
z której, jak cudów cud,
biały wyrasta gród?

Zamknął się za mną cichy ciężar bram;
nad taflą zwierciadła
cisza usiadła,
największa z tych, które znam.
I siedzi
i strzeże złocistej ich miedzi —
strzeże zamczyska,
co błyska,
biały, przedziwny gmach
co z wód przezroczy
przed zamkniętymi wychyla się oczy
w białych, przedziwnych snach.

Z DALEKIEJ WRACAM DZIEDZINY.

„Z dalekiej wracam dziedziny,
Nachylam się ku tobie,
Ażeby ci szepnąć do ucha
Prawdę o wielkim grobie.

„Widziałam go nad morzem,
Wykuto go w twardej skale;
Kości pożarła zgnilizna,
Pod wieczór splukały je fale.

„Zginęła wieść o człowieku,
Co z jego duszą nikt nie wie,
Głupiec uważa, iż śpiewak
Zamknął ją w swoim śpiewie.

„Nikt tego śpiewu nie słyszał,
Nikt się nie spotkał z śpiewakiem —
Morze li szumi i szumi,
Nadbrzeżnym wstrząsając szlakiem.

Zakłęta to jest kraina,
Do pustki tej trudno się dostać,
Czasem po piaskach wilgotnych
Przechadza się moja postać“.

Tak pewnej, samotnej chwili
Szepnęła ku mnie Trwoga —
A ja bym szukał, najbliższa
Jaka tam wiedzie droga.

NIEDAWNO WYSZEDŁEM O ŚWICIE.

Niedawno wyszedłem o świecie
Na pola, wśród których wzrastały
Me lata... Mój Boże! Mój Boże!
Wzrost lichy, a miał być wspaniały.

Gdym stanął na wonnych rozłogach,
Wędrowca przywitał radośnie
Chór czajek... Mój Boże! Mój Boże!
Jak prędko sen minął o wiosnie.

Zdziwiło się słońce wschodzące,
Że mar na tym świeżym zagonie
Ktoś szuka... Mój Boże! Mój Boże!
Daremnie się marom tym bronię.

Gdzie krzyż na rozstajach odwieczny?
Gdzie są te okryte sitowiem
Wądolce? Mój Boże! Mój Boże!
Cóż ja nadziejom mym powiem?

Świat nowy i nowe sąsiady,
A ci, którzy z dawnych zostali,
Oślepli... Mój Boże! Mój Boże!
Wzrok mój zamroczył się w dali.

Spotkałem procesję pielgrzymów,
Gdym wyszedł o świecie na lany

Młodości... Mój Boże! Mój Boże!
Nieznany mi orszak, a znany.

Zwrócili się ku mnie, wzywają — —
Już spieszę, o serce ty człeczce,
Do kresu!... Mój Boże! Mój Boże!
Zbyt długo ta droga się wlecze...

NIE WRÓCISZ DO MNIE.

Nie wrócisz do mnie,
Nie wrócisz do mnie
I ja nie wrócę do ciebie:
Umarły żywe twe oczy,
Któż płacze po ich pogrzebie?

Patrzałem w blask ich,
Patrzałem w blask ich,
Dusza się moja spaliła —
Wyrosła nad nią samotna,
Chwastem okryta mogiła.

Czyż zmartwychwstanie,
Czyż zmartwychwstanie
To serce smutnego świata?
Topole w oczach mych więdną,
Szaruga po nich przelata.

Nie wrócisz do mnie,
Nie wrócisz do mnie
I ja nie wrócę do ciebie...
O drzew pożółkłe upiory,
O dni słonecznych pogrzebie!

TAK JEST, MOI DRODZY PANOWIE.

Tak jest, moi drodzy panowie!
Czas myśmy czekali zbyt długi!
Nareszcie już się skończyły
Niežnośne, zimowe szarugi.

Nareszcie powiedzieć dziś można:
Nie bądzmy tak zrozpaczeni!
Wiosnę już mamy za pasem,
A z wiosną i świat się odmieni.

Przestanie już chodzić po świecie
Natrętny cień melancholji,
Zagładać nam w oczy i szeptać:
A widzisz, serce cię boli!

Gdzie boli? co boli? do licha!
Nam co innego dziś w myśli!
Skraw wielki błękitu na niebie,
Jest słońce, na słońceśmy wysli.

Niebawem zakwitną te sady,
Różowym rozpękną jabłonie
Zadatkim owoców: dojrzeją,
My sięgać będziemy po nie.

Jak mówisz? Nie wszystkim się uda?
A idź z tem proroctwem do czarta!

Na długą nam metę trza sięgać, —
Nadzieja na krócej coś warta?

A zresztą, jak będzie, tak będzie!
Zostawmy to jutru! Tymczasem
Jest błękit i słońce! Czuć wokół,
Że wiosnę już mamy za pasem.

CO SIĘ TO DZIEJE! CO SIĘ TO DZIEJE!

Co się to dzieje! Co się to dzieje!
Aż lękam się wyznać to komu:
Wiecie, że słońce dziś rano
Zajrzało do mego domu.

Aż lękam się wyznać to komu...
Trza mieć odwagę — do skutku!
Złociste, wiecie, nasturcje
Zakwitły w moim ogródku.

Trza mieć odwagę — do skutku,
Więc powiem wam jeszcze coś więcej:
Śród kwiatów śmiech, wiecie, rozbłysnął,
Szczery, radosny, dziewczęcy.

O, powiem wam jeszcze coś więcej,
Tylko nie śmiejcie się ze mnie:
Ja, wiecie, czekałem na nią
I nie czekałem daremnie.

Tylko nie śmiejcie się ze mnie,
Dusza ma całkiem pijana!
Rzekła mi, wiecie: jak ślicznie,
Gdy słońce w dom zajrzy z rana!

W LUDNE WYRYWAM SIĘ KRAJE.

W ludne wyrywam się kraje,
A wielkiem się trudzę pustkowieм,
Żal mi spać nie daje,
Że los mnie tak zwiódl.

Do skarg niema przecież przyczyny —
Tak sobie dzisiaj przepowiem —:
Nie ja sam jedyny
U zamkniętych wrót.

Były przedemną tysiące,
Tysiące też przyjdą po mnie:
Serca gorejące
Wypełniają świat.

Za dom się swój każde wyrywa,
W którym się czuje bezdomnie,
I, ofiara żywa,
Czeka bezmiar lat.

Lecz cóż to bolesne czekanie,
Kiedy tęsknica — tak powiem —
Na wieki zostanie
Najeudniejszą z złud.

W ludne wyrywam się kraje,
A wielkiem się trudzę pustkowieм.
Nic, że spać nie daje
Żal, iż los mnie zawiódl.

CÓŻ WAM TO SZKODZI!...

Cóż wam to szkodzi, cóż wam to szkodzi,
Że sobie składam te zwrotki?
Największe to dla mnie jest szczęście,
Niema rozkoszy tak słodkiej.

Kieliszek wina, kieliszek wina
Lubię w przyjaciół mych gronie,
Lecz serce najbardziej się wzrusza,
Gdy żądzą piosnki zapłonie.

Moja dziewczyno, droga dziewczyno,
Nad wszystko twe usta, twe łono,
Lecz wyrzeklbym się i ciebie,
Gdyby śpiewać wzbroniono.

Niczego nie chcę, niczego nie chcę,
Żaden już skarb mi się nie śni,
Chleba mi kromka wystarczy
I jabłko i dźwięk mojej pieśni.

Więc cóż wam szkodzi, więc cóż wam szkodzi,
Że sobie składam te zwrotki?
Największa to dla mnie pieszczota,
Napój to dla mnie przesłodki.

Gdy w tym pokoju, gdy w tym pokoju
Widzę naprzeciw te drzewa

Rozkołysane, odrazu
Dusza ma szumi i śpiewa.

A wyjdę w pole, a wyjdę w pole,
Nad którym słońce już gaśnie,
Czuję, jak we mnie z uporem
Rytmiczne rodzą się baśnie.

Chodząc po mieście, chodząc po mieście,
Gdy czasem spojrzę w twarz ludzi,
Śpiwnemi echami ich radość
I ból ich do życia mnie budzi.

Więc cóż wam szkodzi, więc cóż wam szkodzi,
Że sobie składam te zwrotki.
To dziś, to jutro jest moje,
To jawa, to sen mój jest słodki.

PAMIĘTAM TE PIASKI NAD WODĄ...

Pamiętam te piaski nad wodą,
Gromniczne pamiętam dziewanny
I poszept tych fal nieustanny,
Co pieśni tajemnicą bezsłownych więziły
Moją duszę młodą.

Pamiętam, jak trzcina się kładła
Pod wiatru przyjaźnym podmuchem;
Te jaskry pamiętam i w głuchem
Uśpieniu pogrążone w białe noce letnie
Białych chat widziadła.

Rzepiki pamiętam ja złote,
Ten jęczmień, ten żyta łan siwy,
Ten krwawnik, te dziwy-przedziwy
Błękitów, z których wieki przędą ręce boże
Naszych serc tęsknotę.

Pamiętam tę oddal przymgloną,
Te żółte ścierniska, tak cudnie
Żarami drgające w południe
Późniwne, i jarzębin korale pamiętam,
Co wzdłuż drogi ploną.

Pamiętam to wszystko — te rowy,
Zarosłe łopianem, te miedze,
Na których, bywało, ja siedzę

I rzucam listki glogu na wróżbę dni przyszłych,
Na świt szczęścia nowy.

Te wierzy pamiętam, te osty,
To kawek krakanie, te wiśnie,
I ślaz ten, co w okna się ciśnie,
I starca, który wiedział, czemu słońce świeci,
Czemu wiąz jest prosty.

Pamiętam to wzgórze wśród pola,
Zarosłe wrzosami, gdzie leże
Polegli znaleźli rycerze,
I trakt ten dobrze pomnę, którym po wiek wieków
Smutna chodzi Dola.

SŁYSZAŁEM GŁOŚNY PŁACZ LUDZI.

Słyszałem głośny płacz ludzi,
Słyszałem ciche wzdychania,
Na nędze-m taką patrzył, że aż dziw, dlaczego
Bóg na nią patrzeć nie wzbrania.

Nie mogłem przytłumić żalu,
Przekleństwa-m chciał rzucać gromy,
W żrenicach, pod fałdami stroskanego czoła,
Tlił ogień, pomsty łakomy.

I skwarno było i gwarno
W mej duszy, jak w wielkiej kuźni:
Młot padał na kowadło, świat-ci on przekuwał,
Kto zdrajca, ten pracy tej bluźni.

Płynęły tak dni i tygodnie,
Miesiące płynęły i lata,
Lecz nędza w moich oczach wciąż rosła i rosła.
Snać nie przekulem świata.

Tarzała się po ulicach,
Krzyk za nią niósł się plugawy,
Lub drogą szła śródpolną, na poły oślepla,
Najlichszej żebrząca strawy.

I raz mi się wydarzyło —
Pomyśleć o tem, jak boli:

Wtargnęła do mej kuźni — nie ona, lecz widmo
Nieopisanej Niedoli.

I od tej pory, doprawdy,
Ja nie wiem, co stało się ze mną:
Nie umię rzucać gromów, przeklinać nie umiem,
Pustkę mam w duszy ciemną.

CZKAŁEM NA CIEBIE W CZORA.

Czekałem na ciebie wczora,
Od rana czekałem do rana,
Wywiodła mnie w pole tęsknota,
Miłością twoją pijana.

Przenigdy już czekać nie będę,
Takem chciał zarzec się w gniewie,
Lecz kłamstwo jest obce mej duszy,
O fałszu nie serce me nie wie.

Więc powiem ci prosto i szczerze,
Ty moje dziwne kochanie:
Chociażbym wieki miał czekać,
Dość woli na to mi stanie.

Bo cóż ja mam czynić, nieboże,
Jeśli nie czekać do końca?
Wszakże ty jesteś zachodem
I wschodem mojego słońca!

NAD KSIĄŻKĄ NACHYLONY.

Nad książką nachylony,
Ni jednej nie widzę zgłoski,
A słucham jedynie, czy stamtąd
Szum nie zaleci boski.

Nie ślą mi swoich nowin
Potoki, wierchy, urwiska —
Turkot li wozów ulicznych
W moją tęsknotę się wciska.

Nie ślą mi swoich nowin
Płomienie z za krańca świata,
W to moje głuche pustkowie
Zwolna już mrok się wplata.

Hej! wyrwę się z jego więzów,
Raz jeszcze do lotu się zmuszę,
By spocząć, gdzie w blaskach szczytów
Bóg się wmiłował w duszę.

ZBUDŹ SIĘ, DZIEWCZYNO, Z SNU.

Pójdziemy w świat, w daleki świat,
Precz, precz od ludzkich oczu,
Przechadzać się będziem nad morzem,
Gubić się w niebios przezroczu —
Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Na słońca wschód, na słońca wschód
Patrzący w to letnie zaranie,
Dech zatrzymamy z podziwu,
Aż tchu nam w piersiach nie stanie —
Zbudź się, dziewczyno, z snu.

W południa blask, w południa blask,
Słuchając orkiestry fali,
Zdumionym li będziem wzrokiem
Cichnący jej odpływ żegnali.
Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Nie trzeba słów, nie trzeba słów!
Człowiek ich wartość przecenia.
Serce wezbrane ma jedną
Wielką wymowę milczenia.
Zbudź się, dziewczyno, z snu.

A tylko w czas, a tylko w czas,
Gdy wieczór błękitnieć zaczyna
Od gwiazd, ja twą rękę uścisknę

I szepnę ci: Mojaś jedyna!
Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Pójdziemy w świat, w daleki świat,
Precz, precz od ludzkich oczu,
Przechadzać się będziemy nad morzem,
Gubić się w niebios przezroczu —
Zbudź się, dziewczyno, z snu.

Z ZAWIĄZANEMI OCZYMA.

Z zawiązanemi oczyma
Pędzę na oślepu ku tobie,
Nic mnie już, nic nie powstrzyma —
Ty śmieję się! Drzewa-m widział w jesiennej żalobie.

Jak mnie przywitasz, ja nie wiem...
Gdy dotrę do drzwi twego domu,
Czyż z równem się zejść zarzewiem?
Milcz o tem, żem się potknął! ni słowa nikomu!

Tam slysze wstał, już krąg słońca,
Na szczyt swój już wzbil się z południa
I zagaś i noc już... Bez końca
Trwa życie... Tęsknicami człek tor swój zaludnia.

Na skrzydłach-by serce leciało,
Kosztowne dziś dary ci niesie...
Za mało ci jeszcze? na mało?
Las ciemny, las odwieczny, dusza błądzi w lesie.

Niczego mi żal już nie będzie
I nic mnie urazić nie zdoła,
Gdy ujrzę takiego sędzie,
Jak ty... bo któż obetrze mi te krople z czoła?

Gdzież są tak miękkie dłonie?

Żrenica gdzież równie łagodna?
Warto potrudzić się po nie.
Ktoś spojrzal w głąb jeziora, pociąga go do dna.

Z zawiązanemi oczyma
Pędzę na oślep ku tobie,
Nic mnie już, nic nie powstrzyma —
Ty śmiej się! Drzewa-m widział w jesiennej żalobie.

A CZEGÓŻ JESZCZE CHCECIE...

A czegoż jeszcze chcecie, moi bracia drodzy?
Naprawdę, biedny jestem! Złota pokryjomu
Nie pieszczę przy zawartych drzwiach i oknach domu,
Hojności mojej skąpstwo nie trzyma na wodzy!

I ja skarb miałem kiedyś, uniesion z rozgromu
Żywota: ból kosztowny! Oblegli mnie mnodzy
Żebracy: przedsię, myśląc, że to są ubodzy,
Własnego żądni serca, skarb ten byle komu

Na ślepom do stóp rzucał... Może prawda, może:
Człek ludzi się, że, cierpiąc, dźwiga w głębi duszy
Cierpienie swoich bliźnich i że niem poruszy,

Oddawszy je na pastwę, skryte siły boże...
Lecz pocóż to rozważać? Ból już nie zakrzyczy!
Mam tylko — o, nie dla was! — troszeczkę goryczy...

NIE WSTYDZĘ SIĘ.

Nie wstydzę się, iż życie mija mi bez czynu,
Że tylko słucham wiatru i poszumu rzeki,
Że patrzę przez me szyby, jak zachód daleki
Oslania wierchy górskie przedzą z seledynu,

Z błękitu i purpury... Ze swojej opieki
Wypuści mnie ojczyzna? Nie powie mi „synu“?
I cóż? Od miłosego dawnom odwykl plynu,
A zniosłem już niejedne skowyty i szczeki

Chociażby własnej duszy. Ale na pociechę,
By zbyt nie zaciężyla czelność ma na szali,
Odpowiem wam, słuchajcie: rzuciwszy raz strzechę

Mych ojców, w pole-m pobiegł i grudę, obsianą
Przelichem, wążem ziarnem, serca mego raną
Zwilżyłem potajemnie... Czyn ten mnie ocali...

DZIEŃ MAMY STRASZNIE MGLISTY.

Dzień mamy strasznie mglisty, a właśnie od wczora
Myślałem, że was dzisiaj skróś słońca zawiodę
Ku owym srebrnym łanom, gdzie krokusy młode
Na świat się wybijają z pod śniegu... Nie pora

Żałować chwil straconych. Kto wierzy w pogodę,
Niech czeka... A kto czuje, że dusza w nim chora
Od zwątpień, niech odejdzie! I mnie trapi zmora,
Że kwiatów czarodziejskich jasnoruną trzodę

Pokryją świeże zaspasy... Cóż robić?... Przyznaję:
Jak człowiek lekkomyślny, co się mija z wiosną,
Niejedną przeoczyłem godzinę, radosną

Dla oka i dla serca... Dziś, patrząc na sine,
Ołowiem obciążone niebiosów okraje,
Odchodzę, aby smutkiem opłacić swą winę.

PRZY STUDNI...

Przy studni, cembrowanej zwietrzalymi glazy,
Dostrzegłem dwie dziewczyny... „A czyjaś ty, czyja?”
Zapytam się z nich jednej. „Ja — jestem Marja
Z pod lasu“, tak oddzwoni mi dzwonem bez skazy.

„A ty, co masz żrenice, by dwa cudne ślazy,
Wyrosłe na zapłociach, gdzie im słońce sprzyja?”
„Mnie wszyscy zowią Martą...” I potem ich szyja,
Smuklejsza od łabędziej i gładsza sto razy,

Niż marmur, wygłaskany prawicą rzeźbiarza,
Nad głębią tą kryniczną bujnie się przeważa:
Zaśmiały im się oczy radością żywota.

Odeszły... A mnie w sercu jakaś wdzięczność złota
Poczęła grać, że jeszcze moje dni coś warte,
Bom dostrzegł córki wiosny, Marję i Martę.

ZA WSZYSTKO JESTEM WDZIĘCZNY.

Za wszystko jestem wdzięczny: Za tę błotną drogę,
Po której kroczyć muszę do umarłych miast;
Za księżyc, co mi oto z pod wierchów wyrasta
I oczom moim ślepym odejmuje trwogę

Przed siecią mgieł zdradzieckich. Za szaleństwo własta,
Co mniemał, że na ludzkich karkach stawiał nogę,
Gdy w kaźni oblakańców krwi jego pożogę
Studzono kajdanami... Za ten kawał ciasta,

Przed chwilą zdjęty z ognia, za ten wody dzbanek,
Za pryczę, za światłości ukojny poranek,
Co jutro się przez szpary wciśnie do mej celi —

Tak! jutro!... O nadziejo! Jakżeż wdzięczny jestem!
Szeleści moja dusza weselnym szelestem,
I wam, niech bracia moi, serce się weseli!

Z OSIKI-M WYCIĄŁ LASKĘ.

Z osiki-m wyciął laskę, długi kij pielgrzymi,
I księgę, pełną proroctw o zbawieniu świata,
Zabrawszy z ciasnej izby, poszedłem na lata
W ogniska, gdzie się życie przepala i dymi.

Pragnąłem się podzielić z ludźmi zmęczonymi
Nowiną radującą. Ale próżna strata:
Tu człowiek kosi jęczmień, tam bruki zamiata,
Tu kupczy, a tam myśli, że pierś swą zolbrzymi,

Że duszę zbohaterzy w bratobójczej wojnie —
Nikt nie miał chwili czasu, by słuchać spokojnie.
Wróciłem, lecz bez żalu: W tej drodze pątniczej

Jeziora się splatały z rozśpiewaną zorzą,
Z pod stóp mi kwiat wytryskał, wicher od leśnej dziczy
Zawiewał, niosąc ku mnie tajemnicę bożą.

WIEM: SŁOŃCE JUTRO WZEJDZIE.

Wiem: słońce jutro wejdzie i znowu zagaśnie,
Jak dzisiaj. Czyliż wiedzy potrzeba mi więcej?
Niech dusza się rozchmurzy, niech uśmiech dziecięcy
Poigra na jej wargach! Księżycowe jaśnie

Zagrały pieśń wzajemną z tysiącem tysięcy
Fal morskich, srebrne dźwięków wywołując baśnie.
O serce! Mewą jesteś, szczęśliwą, że draśnie
Skrzydłami skrawą topiel, gdzie się gwiazd jarzący,

Beztroski kąpie płomień. Bierzmy łódź i dalej
W ten przestwór niezgłębiony ku wyspom z koralami!
Lecz wiosłem niech podstępne nie będą nam żądze,

Ażeby gdzieś zakryte odmykać wrzesciadze!
My wiemy, co potrzeba: Słońce jutro wstanie,
Jak dzisiaj, i znów w wielkim skona Oceanie.

NAD MORZEM, RAZ W POŁUDNIE...

Nad morzem, raz, w południe, przypadek szczęśliwy
Pozwolił mi w rozgrzanem piaszczysku wybrzeży
Cudowną znaleźć muszlę. Z czem się radość zmierzy,
Dziesięcinna, śmieszna radość, barw widząca dziwy

I kształtów nadzwyczajność, którą skarb ten świeży
Zachwycił me źrenice?... Owoc morskiej niwy,
W bajecznych gdzieś ogrodach zerwan i na siwy,
Podstopny żwir wyrzucon! Wziąłem go z rubieży,

Dzielącej ląd od wody, i, tuląc do ucha,
Łowiłem głośnie szumy, skryte w jego cieśni:
Zdawało się, że serce serca wód tych słucha

I lądu i niebiosów, że mi się nie prześni
Już nigdy tajny pogłos nieznanego Ducha,
Że nigdy już do ludzkiej nie zatęsknię pieśni...

W DZIEŃ, SZARY BEZNADZIEJNIE.

W dzień, szary beznadziejnie, kiedy żal wybladł
Z żebraczem się natręctwem do duszy nam wciska,
Bezlistne widma olszyn w drodze mnie opadły,
Z czarnego nad potokiem zwłóklszy się urwiska.

Od dawnam ja obyty z takimi widziadły
I wiem, jak je pocieszać — że wiosna już bliska
Po grudzie słonecznemi przejedzie się radły,
Zagony rozzieleni, łąki i bagniska.

I dla was, tak im szepnę — nie będzie w dobroci
Niehojna: liść wam wróci i ciepłem ozłoci.
Lecz one poczną skomleć, że zbyt jest żałosna

Ich dola, bo je z cicha czerw uwiądu toczy. —
I potem, jakby z zemsty, spojrzawszy mi w oczy,
Syknęły: A i tobie nie pomoże wiosna!

JUŻ SPEŁNIA SIĘ PRZEMIANA.

Już spełnia się przemiana! Pręćcie się, ramiona,
Zamknijcie lubych druhów w mocny uścisk! Świeże
Od lasu idą wonie! Polnych miedz obrzeże
Obległy młode trawy i patrzają, jak kona

Na dnie wilgnego rowu zblakana, strudzona,
Ostatnia garstka śniegów... Nie żal jej... Niech dźwierze
Rozewrą się na oścież, drzwi serca! Uderzę
W ich rygle, aby słońce i do mego łona

Szeroki miało przystęp! Nie żywię już chęci
Z rozpaczą rozmyślnego zabójcy radości
Podglądać, czy w jej kwieciu triumfów nie święci

Ukryty jakiś robak... Zaiste! Czas wielki,
By morza nie rozkładać na gorzkie kropelki —
Niech we mnie jego cały jasny dziw zagości!

CO? PRAWDA? WIĘC TO LUSTRO NIE KŁAMIE?...

Co? Prawda? Więc to lustro nie kłamie?... Precz, maski,
Szydzące z mej nadziei. Mam-ci jeszcze plecy
Dość silne, by udźwignąć czar wiosny!... Bez świecy
Przeczytam-ci o zmierzchu przepowiednie Łaski,

Pisane dla mnie w księdze przyszłości... Kobiocy,
Jedwabny, krasy zbytek, w wieńce i przepaski
Bogaty, był mi obcy. Tępa na oklaski,
Minęła młodość moja bez błazeńskiej hecy.

Toż jutro — przecz tak chytrze szczerzycie swe zęby,
Że wzrok mi się wnet zamgli, że pierś moja słaba? —
Nie będę zbierał kwiatów wychuchaną ręką;

Z lemieszem pójde w pole! Uporeczywość raba
Siekierę da mi twardą na twarde wyręby —
Pożadam dni wiosennych, choćby były męką!...

DLACZEGOŻ TO MA CZŁOWIEK DŹWIGAĆ BEZ WYTCHNIENIA...

Dlaczegoż to ma człowiek dźwigać bez wytchnienia
To zimne brzemie krzyża? Dlaczego sierocą
Ma duszę mieć po blaskach, co przecież się złocą —
Po słońcu, które przecież ziemię opromienia?

Dlaczegoż to mu każą spoczynek zwać mocą
Zabójczą, która w sercu lenistwo rozplenia,
Tak wrogie nieb tęsknocie! Dlaczegoż do cienia
Ma schodzić, chociaż w wnętrzu wzdryga się przed nocą?

Kto chce, niech się biczuje! Ale my, już wolni,
Usiadźmy, tu, nad wodą: Radosna godzina
Tych wiklin pękających niech nam przypomina,

Że pędem życia trzeba jasności i ciepła,
Że tylko cudotwórczy lazur nas uzdolni
Do wzniecań żądzy niebios, iżby nie zakrzepła.

O WAS MÓWIĘ, GDY MÓWIĘ O SOBIE.

O was mówię, gdy mówię o sobie, gdy z wnętrza
Wylawiam ból czy radość, tak rzadko — niestety! —
Garnącą się w me sieci. Jednakże zalety,
Jednakże mamy błędy. Ta sama się spiętrza,

Ta sama w nas się kładzie fala morza. Prędsza
Nie bywa ma nadzieja od waszej podniety,
Przy której czyha rozpacz. Smutne oczerety
Na stepie myśmy wszyscy, ja i wy, i świętsza

Nie czeka was mogiła od mojej. Robactwo
Jednakże zje nam kości, a w pustce, gdzie władztwo
Żywota ryło ongi głębokie koleje,

Pagórki i doliny do równi zaorze
I cicho snuć się będzie straszne Widmo boże
I śmiać się z swego dzieła, jak się dziś z nas śmieje.

SZCZĘŚĆ BOŻE, O SZCZĘŚĆ BOŻE WAM,
ZBOŻNI ORACZE!

Szczęść Boże, o szczęść Boże wam, zbożni oracze!
Śródpolną chodzę drogą i wołam: szczęść Boże!
Od dawna-m już nie widział jak ziemię się orze
I nie wiem, kiedy znowu to święto zobaczę.

Szczęść Boże, znojne ręce, o ręce prostacze,
Co ziarna po spulchnionym rzucacie ugorze!
O przyszłość siejby waszej już ja się nie trwożę,
Słoneczny dzień wiosenny odgania rozpaczę.

Niedługo ruń zielona pokryje te płoski,
A potem żar lipcowy przebiegnie lanami,
A potem przyjdą sprząty, słodki lek na troski.

A potem ja, szczęśliwy, żem widział dożynek
Owocną, błogą porę, pożegnam się z wami
I pójdę, już bez żalu, na wieczny spoczynek.

O SOBIE ŻEM CI NIGDY NIE DAŁ ANI
ZNAKU...

O sobie żem ci nigdy nie dał ani znaku?
Żem słowa ci nie posłał albo listka róży,
Co sercom, nie lubiącym słów, wymownie służy
Za woń i słodycz zwierzeń?... Ty przelotny ptaku,

Rzuciłeś mi swe pióro między chwilę burzy,
A jaśnie niespodzianą na oblędnym szlaku
Otuchy!... Jam je podniósł, ale nim na krzaku
Głogowym kwiat zapłonął, uczulem, jak duży

Jest przedział między twoją pewnością, a mojem
Wahaniem. Cóż się wahać? Tak! Lecz niepokojem
Znaczone kroki ludzkie i kłamem jest wiara...

Dziś — wiem! Zapóźno dla nas! W pewność się wahanie
Zmienilo, gdy me słowo traci dźwięk, jak stara,
Rdzą zżarta miedź, a róże zwiędły na mym łanie,

A JEDNAK CHCIAŁBYM JESZCZE PÓJŚĆ
POMIĘDZY LUDZI...

A jednak chciałbym jeszcze pójść pomiędzy ludzi
I rzec im: Niech mnie dzisiaj dłoń dosięgnie karna,
Bom zwątpił, iżby wasze mogły zemleć żarna
Garść śrutu na chleb zdrowy... A może się ludzi

I dzisiaj moje serce? Może zbyt jest marna
Ta praca, choć was wszystkich o przedświcie budzi?
Niech będzie jako będzie! Ktokolwiek się trudzi,
Wart czci jest i nagrody! A komu ofiarna

Wydala się udręka bezpłodną, na szyję
Niech sobie sznur zarzuci pokutny i klęknie
Przed Wolą, co jest cudem... Lecz że w wiecznym Pięknie

Czyn z Słowem się zespala, w obu moc się kryje,
Więc bądźcie i wy względni dla tych, co najszczerzej
Ze Słowem na rozstajnej stanęli rubieży.

OD DRZWI TYCH NIE ODEJDĘ...

Od drzwi tych nie odejdę, pukać nie przestanę,
Bo w oknach tego domu biała Cisza stoi,
A czuję — jakżeż bardzo! — że dla duszy mojej
Potrzebne jej lekarstwo... Każdy ma swą ranę,

Więc pocóż się dziwicie, że i mnie się dwoi
W żrenicach od upływu krwi, toczącej pianę
Pod stopy złych, czy dobrych przechodniów... Nieznane
Jest szczęście, a znanego szczęścia człek się boi,

Ażeby nie uciekło... Lecz ja wiem, że ona,
Ku polom przez te szyby patrząca, ma nogi
Bez skrzydeł i bez skrzydeł śnieżyste ramiona.

W dziecięcych dniach, wśród wiosny, nim się jeszcze zboże
Wykłasza, raz w swój uścisk zamknęła mnie drogi;
Jam wyrwał się i oto znam wykrzyknik: gorze!

PSZENICZNY SNOP...

Pszeniczny snop, zbyt słabem związany powrosem,
Spadł z wozu i rozsypał się na drodze błotnej.
Nie chciało się najmiecie zgarnąć tej żywotnej
Naręczy: precz odjechał, więc ja ją podniosłem.

Na słońcu osuszywszy, ziarna-m plon stokratny
Wyluszczył, by go zwrócić, gdzie należy. Roślem
W swych oczach, żem jest prawa i słuszości posłem,
Że trud im swój poświęcam!... Własność wziął ochotny

Właściciel, lecz zaszydził: „Co za pomysł rzadki,
Dla lichej miarki kruszyn chodzić z tak daleka!
Na plewy te nikt w moim śpichlerzu nie czeka...”

Tak stało się. I dzisiaj zbieram serc odpadki
I zwracam oczyszczone wam, ludziom, po świecie
Rozpierzchłym: o, zadrwicie, jednak je przyjmiecie!

Z ROZKOSZĄ DZIŚ WYPIŁEM TEN KIELISZEK WINA...

Z rozkoszą dziś wypilem ten kieliszek wina!
Pijaństwo moje zbożne: duszę mą odkrywa,
Gardzącą wszelkim fałszem! Miłość moja żywa
Miłości się dziś waszej, bracia, przypomina!

Chcę, byście mnie kochali! Trzeźwy, nieraz, bywa,
Odwracam się od darów, które mi godzina
Życzliwych sprzętów niesie. Gdy się gałąź zgina
Z owocem, wnet ją dumnie odtrącam! Pokrzywa

Jest miłsza mojej pysze, niż rozkwitła róża...
Nieprawda! Jako żniwu podobnego nieba,
Tak mnie miłości waszej, o bracia, potrzeba!

I ty mi na kolanach siądz, dziewczyno luba —
Zagubię się na zawsze? Co znaczy zaguba?!...
Z rozkoszą w czarze wina ma wargę się nurza...

TO TYLKO SEN...

To tylko sen, lecz słodki, jak tchyl ciepła, z wiosną
Idące od południa: Z gałązką oliwną
Zapukał mi do wnętrza jakiś anioł, dziwną
Przynosząc mi wiadomość, dziwną, bo radosną.

„Przysłano mnie“ — tak rzecze z dziecięcą naiwną
Pieszczotą — „hen zdaleka, z krainy, gdzie rosną
Ciche drzewa pokoju. Wpuść mnie a wnet posną,
Nie! zamrą właśnie w tobie, którym krwi się grzywną

Oplacasz...“ Drzwi rozwarłem, bom pragnął oddawna
Tej chwili triumfalnej, iżby to, co w czleku
Tak czujnem jest przeczeniem, uśpiła na zawsze

Dłoń zgody z własnem sercem i światem, dłoń, sprawna
W kojeniu! Gdym się zbudził — o skuteczny leku! —
Wierzyłem, że i jawa da mi dni laskawsze.

NIE PIERWSZY RAZ CI MÓWIĘ...

Nie pierwszy raz ci mówię: Jeśli się nadarzy
Los, chętny pocałunkom, ty nie mędrkuj wiele,
Nie badaj, skąd przychodzi i jakie ma cele
Uboczne, tylko całuj... Nie lękaj się straży

Rozsądku, gdy szaleństwo zechcesz zamknąć w dziele
Szalonym: szczery popęd nie chelpi się twarzy
Grymasem, którym ludzie osłaniają starzy
Swą słabość... W samą porę życie na proch zmiele,

Rozmierzy i roztrząśnie twoją żądzę życia.
Nie dosyć: jeszcze-ć k'tobie wypełzną z ukrycia,
Gdzie nie się twoja przędzie, straszne siostry, Parki,

I, piersi ukazawszy pomięte i karki
Zmarszczone, gorzko zadrwią: „Młodości zaprzaniec!
Dziś chyba pocałujesz?... Chyba pójdziesz w taniec!?”

O GÓRY! GÓRY!

O góry! góry! góry! O Wierchu Lodowy,
Bijący w moje okna światłami zachodu:
Wyglądasz mi w tej chwili na zjawisko grodu,
Gdzie wieczną Baśń zakłęto odwiecznymi słowy.

Ja-é nie wiem, jaka treść jej, nie znam jej wyvodu, —
A może to jest wielki hymn stalaktytowy,
Co dźwiękiem swym przejrzystym rozpiera alkowy
I hale twego wnętrza, wielbiąc Twórcę? Lodu

I śniegu ta powłoka, co twą tajemnicę
Otula — czyż jej nigdy nie podchwycą uszy
Śmiertelne? — jakżeż płonie w tych ostatnich blaskach!

I ja, gdy tak ku tobie zwrócone mam lice,
Goreję... Bylbyż znak to, iż, o świętych łaskach
Marząca, śpiewa we mnie odwieczna baśń duszy?

ZAPRZECZYĆ PRAW ZWIERZCHNICZYCH.

Zaprzeczyć praw zwierchnicznych przerostropnym głosem,
Każącym wciąż odważać korzyści i straty,
Wziąć torbę na ramiona, w rękę kij sękaty
I pójść z tego jarmarku, gdzie oczy poniosą!

Bez torby pójść, bez kija, wiedząc, że bogaty
I strojny jest-li człowiek, który umie bosą
Po rżysku chodzić stopą, chylić się ku kłosom,
Na płaskach uronionym, żuć ziarna i chaty

Omijać w czas noclegu... Lada kiep-ci może
Nad sobą mieć dach pewny i wygodne łóżce.
Lecz tylko ten, co trawy ma za legowisko,

Za namiot strop niebieski, drogi widzi mlecznej
Rozpięty luk nad duszą tak jasno i blisko,
Że innych dróg już nie chce, w kraj idący wieczny...

Kochany psie, niesforny, młody, biały Smoku!
Do bicia nie przywykłeś, zaś dobroć głaszcząca
O struny psiej twej duszy, widać, nie potrąca,
Pokory nie rozbudza w twem głupiutkiem oku.

Znasz tylko jedną czulość; wyjesz do miesiąca
I łkasz, gdy ci zagrają w godzinie półmroku...
Kochany psie, gór wolnych wolny obiboku.
Owczarku mój! Do cyrku-ś nie stworzon, płacąca

Publiczność — ryże damy, czerwone opoje,
Pociechy mieć nie będą z troskliwej tresury!
Zostaniesz sobie chamem, który wówczas słucha,

Gdy zechce... Lecz dorósłszy, zwietrzysz serce moje
Psim węchem: żem cię nie śmiał obdzierać ze skóry,
Położysz się czasami u nóg twego — druha...

Czy ślepnę, czy me oczy bielmem już zachodzą,
Że wszystko mi się zdaje i pustką i mrokiem?
A przecież powiadacie: „Oto przed twem okiem
Jest światłość i są ludzie, idący pod wodzą

Żarliwej żądzy żniwa ku polom! W głębokiem
Skupieniu już z sierpami wśród pszenicy brodzą,
Szczęśliwi, że tak z wiarą wczorajszą się godzą
Owoce ich wysiłków!...“ Takim słów potokiem

Pragniecie mnie przekonać, że wyście — ślepce!...
Ach! gdzież kalectwa mego szukać mi dziś źródła?
W zazdrośnem samolubstwie! Dusza ma wychudła,

Z nadmiaru oczekiwań, chwiejną stopą depce
Zagony własnej siejby i pojąć nie umię,
Że mogą być wybrańcy w mnogich siewców tłumie!

Głupi tylko ma pewność, że wszystko, co robi,
Jest dobre, a zaś jeszcze głupszy ufa święcie,
Że dzieło jego przetrwa, jak ten blask w zamęcie
Wieczystej fali morskiej. Mędrca — mówią — zdoła

Wątpienie, kres mądrości wszelkiej i poczęcie:
Któż zliczy, ile jeszcze ten strumień wyżłobi
Głębokich jam w swych brzegach? Nim rok przysposobi
Dłoń wiosny dla pękówek na zwiędłym dziś pręcie

Przydrożnej tej wierzbiny, któż odgadnie, ile
Wytryśnie z niego listków?... A jednak mieć chwilę
Pewności, że jutrzejsze nie obali rano —

Czy w tobie, czy za tobą — tego, coś zbudował
Dziś wieczór! Za tę rozkosz, sięgając powal
Niebieskich, niechby ciebie najgłupszym nazwano!

I znowu pada, sypie mokry śnieg; znów szara
Niebiosów jednostajność szare wali brzemie
Na wiosnę, co się ledwie zrodziła, na ziemię,
Wiosennej żądną runi. Głuchy stuk zegara

Powiększa pustkę izby; tłum półmroków drzemie
Po kątach: i tu straszno i tam źle! Jak mara,
Tak tłucze się ma dusza o szyby, ofiara
Zbyt często zasłanianych widnokręgów, plemię,

Skazane, aby folę puściwszy tęsknocie,
Szło we świat po rozmiękle, posiwiałem błocie...
Śnieg mokry pada, sypie... Są gdzieś przecie cuda

Słoneczne: rwie się dusza, lezie, widmo człecze,
To drogą, to polami, a za nią się wlecze
Czy smutek? Nie! bękarcia jego siostra, nuda!

UWOLNIĘŻ JA SIĘ KIEDY Z TYCH PĘT?

Uwolnię-ż ja się kiedy z tych pęt, które we mnie
Krępują do omdlenia twórczą serca władzę,
Każącą widzieć w słońcu nie dym i nie sadzę,
Lecz rozbłysk sił promienny, boży bicz na ciemnie

Żywota?... Czyż ja jeszcze wóz swój wyprowadzę
Z tych gaszczy, z których wywieść pragnie go daremnie
Wrodzona chęć radości, szczęśna, gdy się zdrzemnie
Na moment ból zbyt czujny?... Tak się oto radzę

Błękitów i obłoków złocistych i jutrzni
I zórz nad jeziorami i białych południ —
Nad szczytem gór i kwiatów i traw, coraz ludniej

Cisnących się po łąkach, i rzek, coraz huczniej
Szumiących, i odpowiedź dostaje — czyż kłamną? —
Że raj ten kwitnie, szumi i lśni się — poza mną!

ZWALISKA LUBIĘ TWOJE I TWE WINO LUBIĘ.

Zwaliska lubię twoje i tve wino lubię,
Dziedzińce twych pałaców i twej rzeki męty,
Zaułków twoich kłęby i sznur wyciągnięty
Rojnego twego corsa. Na kopuł twych czubie

Złociste kocham krzyże szmer fontan i święty
Zwalonych kolumn spokój. W twych grobach się gubię
I w pieśniach twych mandolin, ty żywy tułubie
Przeszłości, owiniętej kwiecistymi pędy.

Powracam od twych mogił... Hej-że, hej! w tę ciemną
Gospodę!... Gdzie jest Cieco? Jesteś! Trać się ze mną
Mój grajku jednooki!... Graj, co-ć się podoba,

Wesoło, czy też smutno — to jedno w tem krótkiem,
Czy długiem naszym życiu! Zresztą — wiemy oba,
Że smutek jest radością, a radość jest smutkiem.

W MROCZNY ZAKĄTEK TUMU.

W mroczny zakątek tumu zablakał się biały,
Młodzieńczy, nagi posąg: w szyszaku na głowie
Stał rycerz, nad słuchując, jak siłę i zdrowie
Postaci jego głaźnej czcili pieśnią chwały

W marmurze wykowane dziewice. Mijały
Stulecia, padły wojska, zginęli wodzowie,
Niedługo o ich męstwie ledwie baśń coś powie,
Lecz posąg spostrzeżono. Jakiś człowiek mały,

Zazdrośnie swoją słabość mający na pieczy,
Ze wstydem się doń skradnie, naprzód okaleczy,
A potem go wyrzuci z kościoła... W mej drodze,

Co wiedzie mnie ku Prawdzie, daleka i ostra,
Znalazłem dzieło życia, pohańbione srodze,
Lecz słońcem jaśniejące, wśród murów chiostra.

KOSMATY FAUN ZA NIMFĄ BIEGNIE JASNOUDĄ.

Kosmaty faun za nimfą biegnie jasnoudą,
Zdaleka już w jej ciało wgrzyza się oczyma,
Rży, parska, oddech chwyta, szorstką pierś wydyma,
Korzeni gardząc splotem i kamienną grudą.

A ona, drwiąc serdecznie z czarnego olbrzyma,
Jak błędny skacze ogień, postaci uludą
To błysnie, to przygaśnie; włosów przędzę rudą
To w mże rozwiewa skrzyste, to w uwięzi trzyma.

Nareszcie faun ją dopadł: ręka twarda, duża,
Kowana w złotej miedzi, powala na zielska
Dziewczynę uśmiechniętą, jak majowa róża.

Czcigodna tajemnica w wszechświecie się czyni —
A nad nią czuwa w słońcu szczyt greckiej świątyni
I morza błękitnego głębia przyjacielska...

TU, POD TYM Z TRAWERTYNU ŻÓŁTYM
ARCHITRAWEM.

Tu, pod tym z trawertynu żółtym architrawem,
Pod kolumn tych pierzeją, wdzięczną, choć surową,
W chitonie stanąć lnianym, z odsłoniętą głową,
I, oczy zagubiwszy w tem morzu łaskawem,

Dzień szczęścia głosić ludziom!... Duszo jesteś wdową!
Po młodym Apollinie! Narzuconem prawem
Zabiłaś go i — żal ci! Ukój się! Niebawem
Pieszczotną, zmartwychwstawszy, przygarnie cię mową.

Szmaragdem lnią akantu wielkie, bujne liście,
Nad kwiatów rozplonionych barwną, wonną rzeszą
Rój jętek się kołysze lekko, promieniście.

Na święto Posejdona zewsząd tłumy śpieszą,
Sam jasny Muzageta kroczy na ich przedzie —
W ich ślad i ciebie, duszo, twa tęsknica wiedzie.

POSEJDON SREBRNOŁUSKIE ZWOŁUJE
DELFINY.

Posejdon srebrnołuskie zwołuje delfiny,
Na głos dźwięcznego rogu śpieszą się zwierzęta,
Za niemi smuga wody płynie, uśmiechnięta
Do ranka, co swe barki z mgły otrząsa sinej.

Gotowy rydwan boży... Ruszył... Któż go spęta,
Ów zaprząg, tak winiący ten żywioł bez winy?
Trójzębem biczowane szaleją głębiny,
Pokosy strasznych łysków rzuca błon ich cięta.

Lecz strach ten jest radością... Piersi Oceanu,
Potężne, tak się swemu obzywają panu:
Potężna z niego żądza na okręgi idzie...

A ona, wód kochanka, smukła Amymone,
Przed żarem zasłoniwszy powieki zmęczone,
Nad źródłem gdzieś w rozkosznej marzy Argolidzie.

SKĄD PŁYNAŁ GŁOS TEN SMUTNY?

Skąd płynął głos ten smutny? W tem mieście, z popiołów
Na słońcu wygrzebanem, nie było nikogo:
My sami po twych głazach kroczyli, o drogo,
Przy której Śmierć tak plenny zostawiła polów

W zwaliskach i wspomnieniach! Od szarych okółów
Szedł śpiew ten, przejmujący okrutnie, a błogo,
Że człowiek chciałby krzyknąć: „Nie przystępuj trwogo!”
Lecz rad był, że go przygniótł ten rozkoszny olów.

Stanęliśmy jak wryci: tak, jesteśmy sami!
To drobny kawał tynku zsuwa się po ścianie,
To bluszcz pod ostrożnemi zadrzał nam stopami.

A pieśń się skarży, płacze... Z jakiegoś ukrycia,
Gdzie oczy twe nie dotrą, wymowne wołanie:
Żywy obzew zgasłego, a żywego życia.

ODDZIELIŁ SIĘ DALEKO OD SWYCH TOWARZYSZY.

Oddzielił się daleko od swych towarzyszy
Chłopaczek, niemal dziecko, w niebieskiej sutannie,
I z wiązką ziół, Najświętszej przeznaczonych Pannie,
Przez poręcz się przegiąwszy, spogląda, jak dyszy

Wspaniały żywioł morza ogniem zórz. Organnie,
By dźwięk wśród katedralnych tulący się nyszy,
Gra przyptyw w gładnych wnękach wybrzeży. Czyż słyszy
On blask i głos ten — sercem? Tak, na cudów mannie

Chowany, czy ten nieszpór fal z cudami łączy?
Zapewne, bo odwrócić oczu swych nie raczy
Od głębin — snąć go szumne czarują ogromy...

Wtem zabrzmiał dzwon od miasta: rozkaz to znajomy!
I chłopiec mknie w przestachu, od gołębia pędzsy,
Po drodze gubiąc kwiaty Dziewicy Najświętszej.

KAPŁANKA BOŻA, MAMJA.

Kapłanka boża, Mamja, której dekurjoni
Zaszczytny postawili grobowiec, codziennie
Opuszcza swój przytułek i po śmierci lennie
Przechadza się w błękitne południe... Na błoni,

Zasiewu gruzów pełnej, widziałem ją, sennie
Idącą w stronę Forum. Uśmiechał się do niej
Słoneczny krąg, całując błądy marmur skroni
I piersi marmurowe... Milcząca bezdennie,

Z pieczęcią swego bytu u warg, na Jowisza
Świątyni zdartych stopniach siadła, Tajemnica
Cyprysów ciemnych, sklepień Powaga i Cisza.

Spojrzała w stabjańskich wód rozlśnione lica
I, ciężko się podniósłszy, wraca w swoje mroki:
Jęk ścieżką jej się wlecze, stłumiony, głęboki...

WCZORAJ O ZMIERZCHU.

Wczoraj, o zmierzchu, czekając na cienie
Nocy, by nurt ich pochłonał głęboki
Treść moich godzin samotnych, wspomnienie,
Chciałem ci taki wysłać list: „Swe kroki

Do mego domu skieruj, wędrownico
Po ugorzyskach miłości! Prawdziwie,
Na niczem zbywać ci nie będzie. Lico
Obetrę-ć z znoju, aby w ócz twych szklowie

Znój jeszcze większy zalśnił. Proch z twej pięty,
Do której błoto lepiły podróże
Za grozą szczęścia, zwieje ci poczęty
Z ognia mój oddech, by ją nowe kurze

Okryły smutną szarością żywota!
O jakim cudem błękitnego morza
Błyszczą się twoje źrenice! O złota
Potęgo łona, którą jasność boża

Stworzyła w chwili upojnej uciechy
Nad swem stworzeniem, jakież ty mnie kary
Wabisz ponętą!? Za jakie mnie grzechy
Strącasz do piekieł, tak żądnych ofiary

Zbudzonej duszy?... Słońce nam zagrało!
Na ścież rozwarłe światłości wrzeczadze;

Spocznij tu przy mnie! Pali mnie twe ciało!
Ognia twojego serca ja nie sądzę,

Bo ludziom głodnym pytać nie wypada,
Czy też w jałmużnie, danej im pod ścianą
Weselnej chaty, nie kryje się zdrada
Pleśni. O dziwna igraszko! Wezbrana

Fal biczących się wzajem Gehenna
Wre w moim sercu chmurny ogrom toni,
Którą widziało pogodną i senną
Tam, na słonecznem Południu. Niech goni

Burza za burzą — na oślep! Żeglarze,
Pchani przez Dole ku wybrzeżom świata,
Wichrów ulęknąć się nie mogą. W parze
Z przyjaźną Śmiercią, na druha i brata

Nie zważający, rzucają ogrody
Pomarańczowe, gdzie dzieci i żony,
Druhy i bracia, plon gromadząc młody,
Nie zdolni spojrzeć na owoc, sploniony

W całunkach słońca, iżby nie myśleli
Z trwogą o tamtych... O pomówmy z sobą!
Wierzaj, daleko będzie nam weselej,
Gdy pogwarzymy o — Śmierci. Żalobą

Żyjemy wszyscy, niekiedy i skruchą,
Jeśliśmy dotąd — może-ż być inaczej? —
Sakw nie zrzucili, które nam, pastuchom
Swych własnych lęków i cudzych, prostaczy

Napycha moral głazami i kładzie
Na nasze barki... Głupi świat i głupie
Są jego prawa. Czy nie tak? Na zdradzie
Cóż nam dziś stoi? Ja i ty! Okupię

Wszystką łzę twoją, jeśli-ć pod powieką
Nie zdoła jeszcze wyschnąć do tej pory,
Kiedy się w pustkę mroczną i daleką
Zgubi ta światła drobina, dla chorej

Duszy stworzona przez miłość...⁵ Do czarta!
Czem ją okupię? Mów ty, co zarzewiem
Złudy się dręczysz, żeś więcej jest warta,
Niżeli skrucha... Mów ty, ja dziś nie wiem“.

Taki ci chciałem wysłać list w godzinie
Zmierzchu wczorajszej, kiedy wspomnień nawał
Począł swój taniec w jej próżni... Niech ginie,
Albowiem w mgłach jej przed duszą mi stał

Wróg, co nam głazy nakłada. I słowa,
Których dźwięk każdy we krwi mojej broczy,
Zawarłem w księdze tajemnej: niech chowa
To, co me tylko rozumieją oczy.

ŚMIESZNI JESTEŚMY WSZYSCY.

Śmieszni jesteśmy wszyscy: kpiarz wesoły
I smutny mędrzec; ci, co z białym strachem
O łaskę życia żebrzą i ci z czoły
Podniesionemi, gardzący tym łachem,

Co się na plecach Bytu zwie purpurą
I gronostajem — my wszyscy, o wierzaj,
Jesteśmy śmieszni do zbytku. Ponurą
Komnatę swoją otwiera na ścieżaj

Śmierć dla radości, zanim jeszcze radość
Stała się pełnią kształtów, które przeczą
Chorobliwemu wędnięciu i zadość
Czynią pragnieniom, zbudzonym pod pieczę

Twórczego świtu! A ból? Krotochwilę
Miałem niedawno ucieśną, gdy na nic
Rozpadł się jego kościół, w takiej sile
I aż do takich wyniesiony granic!!

Złym budowniczym jest miłość! Wiadomy
Stał mi się przykład, iż wtedy najwcześniej
Choćby największe maleją ogromy,
Gdy nam się zdaje, gdy się już nie prześni

Nigdy a nigdy ten Raj — dziś stracony —,
Z serc lekkomyślnej urodzon przysięgi...

Jak całowało słońce nieboskłony,
Jak rumieniły się te leśne łęgi,

Jak się błękitnił ten omam jeziora,
Kiedy, patrzący w błękit twoich oczu,
W warg twych rumienieć, rzekłem-ć, że jest chora
Wszystka ma dusza, jak ten świerk na zboczu,

Pasożytami jedzony... Pamiętasz?
Drzew, najemniczą zrąbanych siekierą,
Leżał przed nami wielki, żółty cmentarz;
Głaz się z łoskotem toczył i na szczera

Miazgę rozbijał bratnich głazów zwały;
Potok się pienił, wyrrywając kępy
Młodych sadzonek, mchów i zielsk, wspaniały
W swem niszczycielstwie, słuch mający tępy

Na jęki brzegów, co się darmo bronią
Jego szaleństwu. Mówilem ci wtedy,
Iż jakiś upiór grozi mi swą dłonią,
Wrogą mym oczom; iż wśród trosk czeredy,

Która wybrańcom swoim wzrok przyćmiła,
Że już nie widzą wcale, gdzie jest szczęście,
A gdzie nieszczęście, nowa idzie Siła,
Co, czarne z głodu wyciągnawszy pięście,

Niemilościerny kłam zadaje woli,
Pragnącej stałą miecza i pawęży
Zagrozić przystęp złudzie, która boli
Więcej, niż kłamu rzeczywistość... Ciężej

Snać mi nie było nigdy, niż w godzinie
Owej spowiedzi. Tak podeptać wiarę
W moc swego zdrowia! Dać się uwieść linie,
Którą powiedle ręce Boga stare,

Niepewne ręce rozciągnęły zradnie
Między dwa słupy spróchniałe, pomiędzy
Celów sprzecznością! Zapomnieć, że padnie
Z tej słabej, chytrze uplecionej przędzy

I najrzeczniejszy skoczek! Tak się oku
Pozwolić iskrą oślepić, co, jeśli
Mogłaby kiedy wszczać ogień w tym mroku,
W który szatani ducha nam ponieśli,

Stosby wzniciła ofiarny!... O, widzę,
Jak się już nad nim przechyłasz radośnie,
Jak, w potajemnej ze zniszczeniem lidze,
Z drzącąką uśmiechów, z których piekło rośnie,

Śledzisz, czy z godną swojej żertwy mocą
Stos ten pożera tę niepewność rana
I ten niepokój snów, wydartych nocom
I tę świadomość moją, że pijana

Dusza twym trunkiem bezwładnie się błąka
Pomiędzy wolą a niewolą, słońca
Chciwa, nocy pragnąca, w pająka
Podwieczornego włóknach, co bez końca

Z trudem dzień cały nagał do siatki
Zdobycz i wziął ją o zmierzchu?... O, patrzę,

Jak twej żelaznej skroni puklerz gładki
Rysują lęki, czy złowróznej wiatrce

Dość żywicznego-m dostarczył paliwa
Gdy żar przygasa, jak trwoga się wznawia,
Czy twój skazaniec wie już, że godziwa
Rzecz to na ścieżce prawa i bezprawia

Przystanąć w miejscu, które milknąć każe
Krzykom sumienia? Czy schwycił już kielnię,
Murarz bezwzględny, który w ludzkie twarze
Rzucił szyderstwa krwawą garść i czelnie

Począł murować grób, by w jego ciemni
Pogrześć to z pośród serc wyrwane serce?
Czy jest już gotów, jak owi najemni,
A niespłaceni knechci, w poniewierce

Zostawić żądzę niestrudzonej wojny?
Zedrzeć z swej piersi ryngraf i po świecie
Wielbić tchórzostwo ciurów? Czy spokojnej
O swe zwycięstwo uległ już kobiecie?...

Bo ten od wieków bój — nierozstrzygnięty —
Pomiędzy nami toczy się a wami.
Kogo śmiertelne pochłona odmęty,
Zwycięzonego kto się krwią poplami,

Nie wiem, wiedzący, że nikt mi nie powie,
By nie był śmieszny człek, co lekce zważył
Tę dobroczynną ufność w swoje zdrowie...
Było to wówczas — pomnisz? —, gdy się żarzył

Luną czerwoną zdradny wąż przełęczy,
Wiążące strome zła i dobra szczyty
W nierozzerwalny ogrom. Kiedy z tęczy
Głębi jeziornej, jeszcze nie zakrytej,

Jał się powoli wynurzać olbrzymi,
Potworny obłok mgieł i wód powierzchnię
Zasępiać cieniem Zachodu... Jak dymi
I las i łąka i fala! Jak mierzchnie

Ziemia i niebo i dusza!... Pamiętasz
Było to wówczas, gdy ostatnie dreszcze
Blasków słonecznych zgasły, a nad cmentarz
Drzew powalonych nie podniósł się jeszcze

Księżyc kojący. Gdy z ziół aromatem,
Tchu wieczornego jasną zlaną rosą,
Zlewał się zapach, przez Stwórcę, w bogatem
Trwonieniu łaski, dan twym bujnym włosom

I twemu łonu... Wówczas, gdy twe oko
W dal się rozwarło, rzekłem ci, iż pusta
Głęb to, a na to ty: „Jak w niej głęboko
Utopisz serce!...” Jam wierzył... Gdy usta

Drżały, by kielich, rozchylony boży,
Pierwszego kwiatu, rzekłem ci: „Na wieki
Czar ich obliczon...” „Serce ci się strwoży
Na śmierć”, szepnęłaś z uśmiechem, „w daleki

Gdy go póniosę świat, ten czar...” „Tak wierzę” —
Oto, com sobie milczkiem odpowiedział,

Nie chcąc, by słowa były ni to dźwięrze,
Na żal otwarte! Czulem, iż ten przedział

Miedzy wymownym, choć tajnym szelestem
Jodel, a ludzkiej niedołęstwem mowy
Nazbyt mnie ranil... Lecz dziś zdrów już jestem,
Choć byłem śmieszny, zaufać gotowy

Twemu proroctwu... Śmieszni my oboje,
Albowiem nie chcesz przyznać dziś, że radość
Wyschnie i skona, jak te piasku zdroje,
Zanim uczyni pełnią kształtów zadość

Naszym pragnieniom; że właśnie w tej chwili
Pagoda bólu rozpada się na nic,
Kiedy się miłość, lichy mistrz, wysili,
By ją wywyższyć do ostatnich granic.

ZŁOCISTEM WINEM CZARĘ NAPEŁNIONĄ.

Złocistem winem czarę napelnioną
Do ust podnoszę, by ją wypić do dna
Na twoje zdrowie! Gdzieś daleką stroną
Chodzą twe stopy, przecież wiem, żeś godna

I trunku tego i tej kryształowej,
Drogiej szklenicy, którą oto tłukę
Na tysiąc skrawych kawalców! Rozmowy
Chciałbym dziś z tobą, choć życie naukę

Daje nam gorzką, że człowiek, w nadzieję
Zamykający swą duszę, zostanie
Wybrańcem trwogi. Lecz któż się nie śmieje
Z lęku, jeżeli sute zniwobranie

Przyobiecuje nam dłoni uściskiem
Los, który w naszym zjawił się ogrodzie
Nieoczekiwan: Obyć było bliskiem
Spełnienie jego przyrzeczeń!... Na wodzie

Piszę te słowa, na mojego wnętrza
Fali przezroczej, w której się zanurza
Słoneczny zachód i gaśnie: Nie spiętrza
Cichego lustra żadna wrząca burza,

Jakkolwiek czuję, że ludzie cnotliwi
— A u cnotliwych ludzi jestem w gości —

Drwić będą ze mnie, lub że ich zadziwi
Moja odwaga... Pokaż im, że prościej

Nikt nie wymierzył drogi dla pogardy
Owego przyczyn i skutków łańcucha,
Który nas skuwa, jak więźniów, niż hardy
Napór twojej woli... Juścić nie posłucha

Twoja tęsknota, zagrzebana w ciszę,
Mej wiernej rady — jeśli coś z tęsknoty
Żyje ci w sercu —; juścić wiem, że piszę
Dzisiaj te słowa na wodzie, że „złoty

Promień nadziei“ uprzedły trzy siostry,
Coby swym własnym zaprzeczyły losom
I doli świata, gdyby nóż ich ostry
Stępiał na chwilę... Urągać niebiosom

Na cóż się przyda? Urągajmy raczej
Cnotliwym ludziom... Przyjdź jutro... Zaproszę
Tłum ich na wieczór, niechaj tłum zobaczy,
Jakie w tej zbrodni naszej są rozkosze,

Jak wyrzekamy wszelkiej się pokuty,
Wolni od strachu gwałciciele sumień,
Z jaką czelnością duch nasz, z pęt wyzuty,
Sypie zwycięski wał nieporozumień

Pomiędzy nimi a nami... Mam w domu
Wino; jest dobre: Jeszcze nie kosztował,
Bo pić nie lubię sam i pokrywom,
Chociażby sięgał żal mój aż do pował

Niebios, lub ryl się aż do bezdna piekła.
Lecz pan radości, co mi w swej dobroci
Przysłał ten trunek, rzekł mi, że jest wściekła
Moc w każdej kropli, że każda się złości

Ogniem, jakiego będziemy świadkami
Chyba w dzień Sądu. „Mam dowód“ powiada:
„Jednemu z bliskich — wszelki człek się mami,
Że ma swych bliskich — sprawilem nielada

Uczę: Był u mnie, wypił puhar wina
Z mojej piwnicy i krzyczał: „„Szatani
Szczep ten zrodzili, gdy przyszła godzina
Buntu, a tyś go wyhodował dla niej

I dla mnie!““ Prawda. Jakby bowiem zmysły
Stracił z miłości, pobiegł ten szaleniec
W dom swoich krewnych. Gwiazdy się rozprysły
Po lanach stropu, stargany ich wieniec

Ćmił jego oczy, gdy tak szedł uwodzić
Żonę czy córkę przyjaciela. Potem,
Chcąc żądzą buntu swej duszy dogodzić,
W łeb sobie palnął...“ Takim, widzisz, młotem

Jest owy napój. Ale tylko słabi
Giną samochcąc; przecież my oboje
Jesteśmy silni. Niech cię więc przywabi
Traf, co letejskie przygotował zdroje

Nawet dla sumień najsilniejszych. Zali
Myślisz, że nie wiem dzisiaj, iż te słowa

Piszę na wodzie, na spokojnej fali
Mojego wnętrza, co ściąć się gotowa

W zimniejsze jeszcze i szkliste zwierciadło,
Ażeby odbić w swej tafli przezroczej
Ten chłodny grymas widma, które siadło
Tuż u jej brzegu i wlepiwszy oczy

W ludzkiego bytu głąb, czy też mieliznę,
Swoją żółtą sypki przesypuje piasek?
W cokolwiek zechcą, niechaj będą żyzne
Chytne twe myśli, tylko przyjdź! Niesnasek

Gminnych, wynikłych z niepewności źródła,
Czy mam przed sobą cześć czy wstyd, nie zrodzą
Żadne poszepty gwiazd ni ta wychudła
Potworność nocy niesytej... Pod wodzą

Lekceważenia — które niechaj mściwa
Sfora Erynyj ściga, jeśli pragnie:
Cóż nam do tego, że gorzkie są żniwa
Z gorzkich posiewów bożych na tem bagnie

Życia wyrosłych? — siądziemy przy stole
Śród grona ludzi cnotliwych. Zaiste!
Z cichych, podstępnych względów się wyzwolę
I, pochwycawszy to wino złociste,

Które mi przysłał możny pan radości,
Iżbym oszalał, przepijany mocą
Tych wrzących kropel, rzeknę do mych gości:
„Wierście mi, siostry i bracia! Sierocą

Jest nasza dusza i ślepą, omackiem
Poszukując Boga w głuchej mroczni,
Jeśli jej w słowie przeczeń świętokradzkim,
Jeśli jej w czynie — niech się unaoczni

W deptaniu cnoty czynu jej odwaga! —
Nie towarzyszy grzech!... Dziś ja i ona,
Ta, co tu siadła, w swym bezwstydzie naga,
Przy tej biesiadzie grzechem rozploniona,

Targamy więzy waszych praw!... Co chcecie,
Mówcie. Ja kielich wznoszę ten i do dna
Chylę jej zdrowie, sam jeden na świecie,
Co się nie pyta: godna czy nie godna?!“

Tak-ci im rzeknę... Lecz ja wiem, że piszę
Dzisiaj te słowa na wodzie... W samotnię
Zdrój to zamknięty, na złowrogą ciszę
Skazan, niestety! niestety! stokrotnie

Sroższą od burzy... Ja wiem, że daleką
Stąpasz gdzieś stroną, że serce ci straszy
Majak Ostatniej Wieczerzy, gdzie rzeką
Grzech się przelewa w kryształowej czaszy.

OTO WIECZORNY ZMIERZCH...

Oto wieczorny zmierzch, co płachty sine
Kładzie na pola... Jeszczem nie zapalił
Światła w pokoju, albowiem w godzinę,
W której się nocny mrok nie rozzuchwał

I ócz ślepotą nie pokarał świata,
Rad jestem patrzeć i słuchać, jak ze mnie
Coś się odrywa i milczkiem ulata
W te przedalekie półblaski, półciemnie.

Nie wiem, gdzie spocznie ta cząstka płomienia,
Z której nam ręce ulepily boże
Gasnącą duszę... Krąg się rozprzestrzenia
Poza kres wzroku i słuchu. W przestworze,

Nieogarniętym snąć i łukiem ramion
Samego Stwórcy, szaleją radośnie
Tumany śniegu. Horyzont, nie splamion
Ułudną zorzą, czeka w mgłach, aż pośnie

Wszelki nurt morza, widzialny jedynie
Mojemu wnętrzu. Zapewne w tej chwili
Chłonie on słońce niewidne: Nie spłynie
Żar jego na mnie, tęczą nie umili

Onych wybrzeży, szumiących daleko
Poza tą pustką mej izby... Gdzie jestem?

O ty kłamliwa zapomnienia rzeko,
Co ponoć chłodnym ogarniasz szelestem

Świadomość szczęścia i rozkoszne ciepło
Minionych godzin wiosennych na zawsze
Topisz w swej głębi, ażeby zakrzepło
W matrwotę fal twych przycichłych!... Łaskawsze

Chyba masz koła dla tych, co, pobledli
W walce z pokusą wyrzeczeń, niechętni
Ciągłym zmaganiom, z zamkniętem usiedli
Okiem nad życia przepaścią, gdzie tętni

Gorzki twój rozlew, i sercu wydarty
Głaz swego bólu rzucają omackiem
W lej twoich wirów... Lecz kto z czujnej warty
Schodzić nie myśli w nędznem, świętokradzkim

Przeczeniu bytu, co nie pierwszej spocznie
Nad ową cichą, tajemniczą miedzą,
Przy której blade, niepewne Wyrocznie
Ze swemi wróżby niepewnemi siedzą,

Póki go słońca wielkie, twórcze ognie
Nie usynowią — na ziemi, dopóki
Nie będzie władcą mroków i nie pognie
O swe kolana, nie strzaska na sztuki

I precz nie rzuci żelaznego kija
Tych swoich ślepych przewodników, losów;
Kto mimo klęski z żądzą się nie mija,
Aby raz jeszcze z pogardą dla ciosów

Zapamiętałej, nieustannej burzy,
Zmóc się z swą własną duszą, tak zdradliwie
Zawijając do portu wśród wzgórz,
Odzianych w kwiaty i świeże liściwie

Drzew cytrynowych; kto ciężar swych powiek,
Snem ujarzmionych, pragnie wzniesć nad wielką,
Mglawą, bezkreśną doliną, gdzie człowiek,
W oszołomieniu tęsknicy, kropelką

Asfodelowej upaja się woni
I już bez zmysłów, zwierz ubity, leży;
Kto sił ostatniem wyłączeniem broni
Szczelnie zawartych swego domu dzwierzy,

By nie wtargnęła w nie ta zła, nieznana,
W bezmyślnej trwodze przeczuta potęga,
Nieprzyjaciółka dziecięcego rana,
Męskich południ wróg, co chciwie sięga

Ku zastawionym stołom, ku biesiedzie
Wzroku i słuchu, pożera ich strawę
I, na zabójczych swoich hufców przedzie
Mająca Boga, czyni sobie krwawe

Igrzysko z wzroku i słuchu i potem
Nagle je gasi; kto przy strasznej drodze,
Gdzie bitne wojska kładły się pokotem,
Ma wolę siadać z uśmiechem, że wodze

I zaciężnicy spełnili ofiarę
Wielkiego życia: temu fal twych plony,

By szkło bezbarwne, obojętne, szare,
Druhy nadziei, w beczynie zrodzonej,

Nie będą gościem, którego witamy
Jak przyjaciela! Ty z odległych stolic,
Z krajów bogatych, w rozkoszne omamy,
Z ziem niezbadanych, z marzennych okolic

Dziwnych nam wieści nie niesiesz o cudach,
Przezeń odkrytych!... O rzeko kłamliwa,
Wspomnienie słońca gasisz w wielkoludach,
A duchy wątle, zasnute w przędiwa

Nocy miesięcznych, wiedziesz na pustkowia,
Po których Śmierć się wałęsa... Nikt nie wie,
Kim jest, olbrzymem czy karlem, lecz zdrowia
Niech każdy pragnie, ażeby zarzewie

Siły rozdmuchać, drzemiące — bez wiedzy —
W duszy najsłabszych... O rzeko ty smutna!
Ciężkim się toczysz rozplywem ku między
Tych łąk rozległych, gdzie całunne płótna

Bielą się w słońcu nieznanem! Okręty
Zabierasz dumne ze sobą i łodzie,
Marne łupiny orzechu, prześwięty
Szał i tę lichą złość, co ma na spodzie

Żal zawiedzionych nadziei!... Lekarze
Ludzkiego serca mówią, żeś jedynem,
Żeś jest najszczerszem ukojeniem. W parze
Z twą zbawczą mocą, która jest beczynem,

Nie tu nie chodzi, chyba śmierć... Odpowiedz
Czemu w tej chwili poświatła, półmroku
Tak mnie omijasz? I owszem. Wędrowiec,
Który się wyrwał z pijanego tłoku

W karczmie przydrożnej i sam wpółpijany —
Nie chciał trzeźwością ranić towarzyszy —
Podąża chwiejnie śnieżystymi łąny
Ku jakimś nowym roiskom, gdzie słyszysz

Jakieś niezwykle hymny, gdzie dostrzega,
Żrenicą przeczuć, jakieś światła nowe,
Każdy napina nerw, aby u brzegu
Przepastnych dołów, nim jeszcze połowę

Drogi swej przeszedł, nie stać się zdobyczą
Zdradnej senności... A ty, zapomnienie,
Zdradną li jesteś sennością. Niech krzyczą
We mnie te wszystkie widma, które w cienie

Śnać już odeszły — tak mi się zdawało
Jeszcze przed chwilą —! Teraz, gdy, do szyby
Skoń przycisnąwszy, patrzę na to ciało
Potwornych zmierzchów, zakowane w dyby

Przepotwornego milczenia, niech we mnie
Szaleje orgja obłąkanych domu:
To, com uczynił, i to, co daremnie
Pragnęło spełnień w godzinie rozgromu

Siły i woli, niech mi dziś wyrzutem
Będzie lub łaską, niech krwawi czy koi —

Świadectwem życia jest, w mgły nie zasnutem
Przed okiem widza! A my wszak ostoi,

Która się zowie ślepotą i końcem,
Jeszcze nie chcemy, ma duszo! My jeszcze
Wszak mamy żądzę bytu, co się słońcem
I dnia początkiem nazywa, co dreszcze

Budzi na głębiach mórz i tęcze złote
Hojnie rozsiewa na szare, zmartwiałe
Piaski wybrzeży...

Lubię swą tęsknotę,
Serca naszego niezaprzeczną chwałę,

Uwalniać z więzów w tej zmierzchu godzinie,
Gdy jakiś ogrom nieznanego świata
Wstaje za pustką mojej izby, ninie
Tak pełnej gwaru... Lubię, gdy ulata,

Gdy się odrywa odemnie to płomień,
Które przedwieczne stworzyło zarzewie — —
Lubię?... Doprawdy!... Nie! Na jakim złomie
Spocznie ta cząstka, ach! tego nikt nie wie...

CICHO ZA NAMI SUNIE CIEŃ ŻYWOTA...

Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...
Patrzeć, jak szczyty drżą w rozbłyskach złota,
Jak obrzeż lasu zasypia ściemniona!

Wszakżeż to było gdzieś pod koniec września...
Przymykam oczy, aby tem wyraźniej
Ujrzeć tę chwilę, która się rozpieśnia
W hymny zachodnich zórz, gdy owi głaźni,

Martwi rycerze płoną ich ogniami
Na zimnych licach... Towarzyszu miły!
Tak! szliśmy sami, a jednak nie sami,
Szliśmy bezsilni, jednak pełni siły —

Słabość na myśli mając, obaj przecie
Czuliśmy w duszy, że moc nam jest bliska:
W ślad nasz zdążyły w tym mierzchnącym świecie
Drogie imiona dwa, drogie nazwiska.

Skąd nam wyrosły, z nizin czy wierzchołków,
Prawdą czy kłamstwem nazwie się ich trwanie,
Po cóż nam w sercu ciężyc ma ten olów?
Dwieśmy w południe zobaczyli łanie,

Pijące wodę z błękitów potoku,
O takiej żarów głębi niemowlęcej

W tem nieporadnem, a tak śmiałem oku,
Że — do wieczora cóż nam trzeba więcej?

Stać w tem obliczu gór! Z zapartym w łonie,
A tak swobody pragnącym oddechem
Patrzeć bez żalu, jak na wieki tonie,
Z lasów i źródeł nie złaczona echem,

Ta, niżli oddech krótsza, jedna, błoga
Chwila pragnienia!... Stać na tej murawie,
Którą przecina kamienista droga:
W żywiołów dawnej, dziś umilkłej wrzawie

Zwał lodowcowy zaścielił to łóżko —
Stać tak i słuchać z rozwartą powieką,
Jak te dwa kształty, nieskalane, boże,
Słodko się pieszczą z tą odwieczną rzeką

Odzwierciedleniem swych źrenic! O święta
Chwilo rozkoszy, tajemniczych grodów
Tajna mieszkanko! Serce niech pamięta,
Że niezależna jesteś ni od wschodów,

Ani zachodów... Niezmarła tęsknota
Wciąż cię zamyka w swe drżące ramiona!...
Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Późno na polach tych górskich dojrzewa
To liche zboże... Tam już zapomniano,
Jak się od ziarna oddzieliła plewa
Pod twardym cepem, a tu chłodne rano,

Kto wie, czy jeszcze tych owsów nie zwarzy,
Zanim je skoszą... Ale na co powiedz,
Ma troska ludzka siadywać na straży
Dnia jutrzejszego?... Taki jest manowiec

Kręty i ciemny u dalekich granic
Tych myśli naszych, że lepiej zaiste!
Świadomość przyszłych dni mieć sobie za nic,
A to radosne dzisiaj, to złociste

Zachodzącego słońca rozebrzmienie
Łączyć w akordy, których niechaj słucha
Twoje i moje serce, póki cienie
Bezwzględna ręką nie przytłumią ducha

Jaśni rozbrzmiałej... Przytłumią? Nie! Oczy
Mamy otwarte: Patrzmy, jak się palą
Te plachty owsa! Jak z tej złotej zboczy
Spływają kłosa, aby zlać się z falą

Tego potoku!... Nim nas droga znuży — — —
Prawda, czy może stępić nasze zmysły
Jakie znużenie w tej dziwnej podróży?...
Mój towarzyszu, kwiaty nam rozbłysły,

Dwa cudne krzewy krwawych róż wyrosły,
Przedwczesnym mrozom wydarte i śniegom...
Spieszmy się, spieszmy, nim je zerwą posły
Takich, jak nasze, żądz! Zazdrośnie strzegą

Ich wiotkich koron przymilkłe wichury,
Na czas dogodny czyhające. Wcześniej

Pewnieć zaszumią złowróżbnymi pióry,
Niżli nadziei naszych sen się prześni.

Tak! trzeba skrócić sobie drogę... Tędy!
Przejdźmy przez potok — brnij-że, brnij! —, a potem
Zuchwałą stopą podepcemy grzędy
Ładzkich mozołów, nieopłatnych złotem.

W cudzy się ogród skradamy — cóż szkodzi,
Że w cudze zboże krok się nasz zagrzebie?
Któż tu właściciel zresztą, a kto złodziej?
Jest tylko człowiek, sam jest i dla siebie.

Nikogo, mówić-ć nie słuchaj, jedynie
Własnego serca, jeśli serce swoje
Umiałeś życiem zamienić w świątynię,
W której się ciszą stają niepokoje

Życia. A wszakże nam, w tej głębi wnętrza
Wielka tęsknica posiała już ziarna
Milczącej ciszy; przedsię ta jest świętsza
Od głośnych modłów; cna jest i ofiarna:

Oddaje duszę i ciało... Niech lisie
Kopią nam doły, groźne sypią szańce:
O prawach świata myśl, jak o przepisie,
Który łańcuchy stwarza i kagańce

Dla psów... Człowieka sieć ich nie omota,
Że jest człowiekiem, w tem jego obrona...
Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona.

Dokąd zdążamy, ach! dokąd zdążamy,
Dwaj, wspólnym losem skuci przyjaciele?
Patrz! Na jaworach wieszają się plamy,
Jasne, ogromne — Śmierci to wesele

Tak się jarymi rozhułało blaski
Tam! na tym lesie, nad tą pól roztoczą?
Nikle dwa widma nieuchwytniej Łaski
Wioną przed nami, glucho, sennie kroczą,

W mgieł zróżowione tulą się opary,
Snać, że już ziemską opuszczają niwę...
A może, słyszysz? może jestem stary?
Raz wypowiedzieć trzeba to straszliwe

Słowo, choć takim napelnia mnie lękiem
Przymus żegnania domu, tu, gdzie człecze
Czuje się serce człeczem, nie rozdźwiękiem,
Który się złudnie naszym śladem wlecze,

Aby zakłócać Rzeczywistość... Może
Gaśnie już oko moje, może traci
Władzę i w chwili dzisiejszej przestworze
Już nie odróżnia widma od postaci,

Bryły marmuru od lotnego puchu,
Tego, co zwiemy leniwym zastojem,
Od pewnych siebie wzlotów, tak, od ruchu,
Dowodu mocy!... Ale w wnętrzu twojem

Wszakże jest młodość! Wyteż wzrok! Do głębi
Wniknij w dręczącej tej zagadki sedno:

Pozór czy prawda?... Idźmy!... Nie wyiębi
Ognia w mem sercu starem ani jedno

Prawo rozumu! Spieszmy się! Do płota
Naszych ogrodów droga nie zamglona!...
Cicho za nami sunie cień żywota,
Stworzon przez słońca krąg, który już kona...

MA PRZYJACIÓŁKO, PYTASZ SIĘ, CO ROBIĘ?...

Ma przyjaciółko, pytasz się, co robię
I czy mi życie upływa spokojnie?
Owszem, po nikim nie chodzę w żałobie,
Bo nikt mi z drogich nie zginął na wojnie,
A gdyby zginął, mam wżgardę dla lez!
Zaś co do innych spraw, to powiem tobie,
Że śmierć za nami włóczy się jak pies.

Ale ty sama wiesz najlepiej o tem,
Więc niepotrzebnie piszę ci te słowa.
Jeno że liście martwym kapią złotem
W parku, co w sobie tajemnicę chowa
Wczorajszej wiosny... Czy ujrzę ją znów,
Skoro w te okna zawita z powrotem?
Noc mrokiem dyszy, a dzień mój bez tchów.

Pozatem, dawno zerwałem ze smutkiem
I z oczu moich cały świat wyczyta,
Żem gotów z chwili skorzystać w tem krótkim,
Chwilowem życiu: jest radość ukryta
W zaułkach duszy i chce wyjść na jaw!
Iżby nie była zrównana z podrzutkiem,
Krzykiem nad krzyki dochodzi swych praw.

Więc się w błazeńskie uzbroiwszy żarty,
Spiesz do ludzi ta radość wezbrana,

Pije ponadmiar, zagrywa się w karty,
Łokcie kobietom ściska i kolana,
Sama ze siebie śmieje się do lez,
A tobie liczman posyła wytarty,
Że śmierć za nami włóczy się jak pies.

A może przecież jest prawdą ta świeża —
Dzisiejsza — liści czerwoność? A może
Prawdą nowina o skonie rycerza,
Którą czytałem dziś, w porannej porze,
W naszych dziennikach? Może prawdą — mów! —
To, co mnie dzisiaj w twym piśmie uderza,
Że i dniu twemu wnet zabraknie tchów?

Głupstwo! Któż myśli o tem, co się stanie?
Jużci, że czasem pustka jest na świecie,
A kwas w glinianym osadza się dzbanie.
Dalej — po pierwsze i drugie i trzecie —
Słońce przygasa w szybach mrocznych chat,
Młodość ziarn szuka na wyschniętym łanie,
A cień na duszę żrałych mężów padł.

Niekiedy zda się mej dziwnej tęsknocie,
Żem już ze życiem stargał wszelkie węzły.
I to jest prawda... Tylko w jego błocie
Nazbyt głęboko me stopy ugrzęzły,
Bym świadomości jakiejś nie mógł mieć:
Wiem, co spoczynek po śmiesznej robocie,
Wiem, co żelazo i co żrąca śniedź.

I to — po czwarte i piąte i szóste,
Czy po ostatnie, któż rozstrzygać będzie? —;

Żona sąsiadzka uprawia rozpustę,
Ryś wybrał wilka na swojego sędzie
W sporze z myśliwym, jakiś nowy Bóg
Twarz sobie otarł w Weroniki chustę
I... po ostatnie — szkoda naszych dróg!...

Tak, widzisz, moja przyjaciółko miła,
Dni me uchodzą... Aha, jeszcze jedno:
Samotność, mówią, to nie jest mogiła,
Grzebiąca w sobie wielkie życia sedno,
Ale świątynia, pełna lśniących bram,
Otwartych w przestwór... Słyszę, brzoza zgnęła
W odludnej pustce i — człek skończył sam.

Śmiejmy się z tego!... A może wypada
Śmiać się i z tego, że gdy się na niebie
Ukaże miesiąc, jak teraz, gromada
Gwiazd, przedtem żywa, w srebrnych mżach się grzebie,
Że wicher się zerwał na niesyty łów
Liści jesiennych i że noc ta błąda
Głosi i tobie ciężki dzień bez tchów?...

Wyznaj, że dzień ten już nadszedł... Lecz jeśli
Wyznać się lękasz, cóż to mnie obchodzi?
Ja wiem, że wióry padają z rąk cieśli,
Że na klejnoty chytry czyha złodziej,
Zaś co do innych spraw — któż zna ich kres
I któż ich wartość godziwie określi? —
To: śmierć za nami włóczy się jak pies.

LIST TWÓJ OSTATNI.

List twój ostatni niemalą mi radość
Zgotował wzmianką, że twe życie młode
Znalazło żywioł, który czyni zadość
Twoim tęsknotom: Oceanu wodę
Rozbłękitnioną, chłonącą bez końca
Ulewę blasków... Znaczy, żeś jest słońca
Oblubienicą i onych bezmiarów,
Których nie zamknąć w śmieszny, ludzki parów.

Ale, niebawem, kilka wierszy dalej,
W liście, mającym zastąpić gołębia
Z dobrą nowiną od przejrzystej fali,
Jest coś, co raczej — rzekłbym — mnie przygnębia,
Coś, co wyrzuty sumienia mi budzi,
Czy też przypadkiem me słowo do ludzi,
Moje i tobie zbyt znane orędzie
Nie spoczywało na złowróżbnym błędzie?

Piszesz znakami, jakby z ręki dziecka
Pochodzącymi, że pięknej tarasie,
Ujętej rzędem marmurowych, z grecka
Ciosanych kolumn, powierzasz w tym czasie
Swoje marzenia, że, o ażurową
Oparta poręcz, lubisz, gdy z twą głową
Ciemnozłocistą igra ciepła, boża
Smuga powiewów, płynąca od morza.

A już szczególną dla ciebie rozkoszą
Patrzeć w zbiegające od żarów południe,
Jak z skał nadbrzeżnych stada mew się ploszą
I w ślad okrętu ulatują cudnie
W przestrzeń daleką, jak, coraz to bledsze,
Rychło się w blade zmieniają powietrze
I całkowicie z przed oczu ci giną,
Rozszerzających krąg swój nad głębiną.

Wówczas — powiadasz — tak ci się wydaje,
Jakby twa postać powoli martwiała,
Albowiem dusza wydziera się w kraje,
Gdzie niema miejsca dla ziemskiego ciała.
Że w takiej chwili już nie rozkosz sama
Zmysły ci mąci, lecz jakoby płama
Na złotej tarczy słonecznej, od razu
I ból z czyjegoś zjawia się rozkazu.

Tylko że ból to niezwykle: Jeżeli
Ktoś się zapyta, czy też nie on właśnie
Jest tą rozkoszą, jakiejż mu udzieli
Twa przyjaciółka odpowiedzi? „Jaśnie
Przynosi z sobą, choć oznacza ciemnię,
Krwi mi dodaje, choć krew pije ze mnie,
Ciężary kładzie na skrzydła, a przecie
W najszerszym wówczas szybujemy świetle“.

Czujesz moc jego zwłaszcza o zachodzie,
Gdy z swej terasy ujrysz, jak się nagle
Statki na wrzającej ukazują wodzie
I jak wraz nikną splemionione żagle,
Odbliski zorzy, która i twą duszę

W jakąś nieznana uprowadza głuszę
Hen! za widnokrąg: krwawą skryta pianą,
Straszną dla ciebie głąb ta, bo nieznana.

Lubisz ten obraz, widzę, i ja lubię —
Nieraz do niego-m wracał w ewangelji,
Którą ku twojej głosiłem zagubie,
Albowiem pani ma się nie weseli,
Lecz, wśród słonecznych wędrując rozdroży,
Raczej się lęka czegoś, czegoś trwoży,
Zamiast, z obliczem, ku fali zwróconem,
Ten czar jej rzeźwy pełnem wchłaniać łonem.

Ale ten przestach, ten nasz lęk, ta trwoga,
Co nami w chwilach takich wzniesień miota,
Jest, tak dowodzisz, przyjaciółko droga,
Jedyną treścią ludzkiego żywota,
Rozszerzając ciasność jego granic
Ku onym złudom, których nie dasz za nic,
Ponieważ prawdą są, choć złud nazwiska
I twój rozsądek i mój w twarz im ciska.

Pojętą, widzę, miałem uczennicę
I praca moja snąć była coś wartą.
Jednak mi z żalu nie zbladłyby lice,
Gdyby ktoś zechciał, tak karta za kartą,
Podrzeć na strzępy tę księgę, do której
Przez całe-m życie wpisywał ponury
Przykaz, iż boleść to rozkosz jest złota,
Gdyż do wieczności otwiera nam wrota.

Już ja nie cofnę tej swojej nauki,

Bo siły brak mi przy ofiarnym stosie,
Który mi grozi, wołać w głos, dopóki
Prawdyby człowiek nie dostrzegł w tym głosie,
Że najgodniejsza boleść i największa
Jeszcze nikomu czoła nie upiększa
Aureolami, tą pożyczką z nieba,
Której nie trzeba, choćby było trzeba!

Nie! tak ja krzyczeć nie będę, o prawa
Gdy idzie moje, co pono już w grobie
Raczej je zamknąć! Lecz smętkiem napawa
Wnętrze się moje, gdy myślę o tobie:
Wolałbym dzisiaj, by twej żądzę łasej,
Śledzącej z białej rozgrzanej terasy,
Jak się Ocean wszechmożny rozwelnia,
Słala swe szumy wielka życia pełnia.

Wolałbym dzisiaj, by przed duszą twoją,
Co do rozmiarów mistycznych wyrasta
W żarnych tęsknotach za wieczną ostoją,
Z fal czarodziejskie wystrzelały miasta,
Wonnych ogrodów szereg nieustanny,
Widne aleje, szemrzące fontanny,
Cysterny w białych marmurach wykute,
Bóstwa, wsluchane w faunów słodką nutę.

Muzyka, śpiewy, rozhowory, tańce,
Oto czem winna żyć twa wyobraźnia!
Życie swą pomstę zsyla na zaprzacenie
Życia! Na ucztę gdy się człowiek spażnia,
Odchodzi głodny od biesiadnych stołów,
Przy których setkę poświęconych wołów

Spożyli inni, gdy, jak nakazano,
Nieomieszkali przyjść w weselne rano.

Ale niech będzie, jak chce! Czuję radość,
Że, w ogólności, twoje życie młode
Znalazło żywioł, który czyni zadość
Twoim tęsknotom: Oceanu wodę
Rozbłękitnioną, chlonącą bez końca
Ulewę blasków... Znaczy, że do słońca
I do bezmiarów kierujesz swe oczy,
Które gdzieś jeszcze ból jakowyś mroczy.

ANI TY DUSZY SWEJ NIE RZUCISZ PSOM.

Ani ty duszy swej nie rzucisz psom,
Ani ja blasków twoich nie zapomnę...
Chociażby jakieś nieszczęście ogromne
Wkroczyło z tobą w ten pusty mój dom,
Jabym cię schwycił za te ręce obie
I miłościwie przygarnął ku sobie,
Szepnąwszy tylko: „nie pierwszy to grom!”

Nie mam zwyczaju obliczać się z tem,
Co świat nam powie, lub zarządzą nieba,
Przeto niczego lękać się nie trzeba,
Lecz, powtarzając, że życie jest snem,
Czekać spokojnie aż życie się prześni,
Bez względu na to, czy później czy wcześniej
I czy też dobrem będzie albo złem.

Jest za i przeciw — któżby wątpił? któż?
Ani ja dzisiaj, ani ty, ni człowiek
Cudzy, któremu noc nie zwarła powiek
Na dnia różnicę... Przecież tylko tchórz
Rad jest te nędzne gwichty kłaść na szale,
Tłómacząc sobie, że istnieją fale,
Tnące się wzajem na głębinach mórz.

Dławi cię krzyk ten — mówisz? Krzyk ten zdław
I krwi wezbranie w swej piersi zastanów.
Spieszącej brzegiem rozpalonych łąnów

Ku czystym wodom, niech ci powie staw,
Któremu burza lustra nie rozsada,
Że przejdzie mimo nas złowroga władza,
Dzierżąca berło nienawistnych praw.

A gdyby chciała uragać i nam —
Czelność się zawsze panoszy i wszędzie —,
Jest czem opłacić przekupne jej sędzie:
I ty masz dosyć i ja dosyć mam
Dumy czy pychy — dwa równe walory,
Jeżeli zdeptać trzeba nazbyt skory,
Mimo miedzianych stóp, zbyt skrzątny kłam.

Podaj prawicę i wejdź ze mną w dom,
W którym się życie nie kryje w osłony
Tych albo tamtych względów. Niestrwożony
Pożarem dachu, gdyby go wszczął gróm,
Ani ja swego nie ukorzę wnętrza,
Ani ty, ranna jutrzni przenajświętsza,
Swej jasnej duszy nie porzucisz psom.

Nie od dziś śmieję się — i ty się śmieję! —,
Słyszac, jak ludzie szlachetni i zdrowi
Lubią bliźniemu prawić człowiekowi,
Że się w tragiczny zagrzebuje lej,
Że, nie chcąc folgi dać przezornej radzie,
Sam się z oczami zamkniętymi kładzie
W statek bez steru, bez wiosel i rej.

Vogue la galère!... Lecz to nie jest ton
Pękniętej struny!... Nie topielców hasło,
Lekceważących słońce, gdy już zgasło

Ponad rafami! Nie rozpacz to lon,
Które wyróżyć miały wielkie szczęście,
A którym dzisiaj wygrażają pięście,
Gdyż z wieszczb ich wyrósł wprost przeciwny plon.

Vogue la galère!... Nie żaden to cud
Krzyczeń tak śmiało, gdy morze spokojne
Fal swych na straszną nie gotuje wojnę;
Gdy mewa, siadłszy na okręcie przód,
Ufnie spogląda w oblicze żeglarzy,
A reszta stada w błękitach się waży,
Wspólną tworzących głębie z głębią wód.

Bo dziś precudny otacza mnie dzień,
Jak gdyby stworzon, ażeby na wieki
Przeczyla dusza bliskiej czy dalekiej
Groźbie pomroków. Zapatrzonej weń,
Czuje, jak słodko wciska się do serca
I za i przeciw wszelakie uśmierca
Od łak płynący powiew wonnych tchnień.

Wszystko dziś wszystkim przebaczyłbym rad,
Jeśli cokolwiek przebaczać należy
Ludziom, co przecież są bez win. Na wieży
Zda mi się, jestem strzelistej i świat
Płynnem się srebrem u stóp mych rozściela
W rozfalowaniu radosnem! Wesela
Obraz, jakiegom nie widział od lat.

I ty się raduj! Tobie ja ten złom
Greckiego słupa zawdzięczam, tę ciszę,
Co tutaj liśćmi wierzbowymi pisze

Znaki zaledwie dosłyszalne, tchom
Podobne cichym twej słonecznej duszy,
Która niewczesny krzyk w sobie zagłuszy
I której rzucać nie godzi się psom!

Drzwi me otwarte, zamiecion mój próg,
Na stole złote czekają owoce,
W dzbanie z kryształu blask wina migoce
I precz odgania widma mrocznych trwóg;
Do wnętrza izby zagląda, ciekawy
Tej w moim domu niezwyklej zabawy,
Pan, na syryndze grywający bóg.

Pod białą ścianą rozpalił się ślaz,
Rozpłomieniły się piwonje duże,
Na bezkolczastych krzaczach rozbłysły róże;
Rąk nie skaleczysz, gdy się do tych kras
Zabierać zechcesz, zapachów spragniona,
W których się kąpie królewska korona
Życia, co umie tak nas witać, nas!

O świetle bliski rozegra się łąn
Głosem przepiórek, lub w sąsiednim lesie
Wieści o zorzach wstających rozniesie
Rychła kukulka; a gdy zmilknie Pan,
Lubiący słońce południa, mądrości
Święty ptak, sowa, wśród zmierzchów zagości,
Dreszcz tajemniczy śląc do naszych ścian.

Przeto się gotuj do drogi, a zważ,
Abyś przybyła w mój ogród, nim jeszcze
Listopadowe zaczną płakać deszcze,

Nim zima puści szron, swą przednią straż,
Zanim me grzędy z purpury i złota
W szarość lodową oblecze martwota,
Prześladowniczy ziół i wróg ten nasz.

A gdyby w drodze opadły cię znów
Głuche wątplenia, co ponoć się zrosły
Z wieczystym rdzeniem twej duszy wyniosłej,
Odpędź tę sforę, pamiętna mych słów,
Że ogień z wodą nie zawrze przymierza,
Lecz serce z sercem, gdy cios w nie uderza,
Odeprzeć zdoła i tysiączny huf.

Że gdyby nawet wraz z tobą w mój dom
Jakieś nieszczęście wkroczyło ogromne,
Jeszcze ja blasków twoich nie zapomnę!
Nie! nie! szepnąwszy: „nie pierwszy to grom!”
Jeszcze uchwyć cię za ręce obie
I miłościwie przygarnę ku sobie
I ty swej duszy nie porzucisz psom!...

DAWNO MI ŻADNEJ NIE PRZYSŁAŁAŚ WIEŚCI.

Dawno mi żadnej nie przysłałaś wieści,
Jak ci się wiodło te długie tygodnie.
Nie poczytuję ci tego za zbrodnię,
Ujmy-ć to przecież nie czyni twej cześci.
Czekać też mógłbym, wierz mi, jeszcze dłużej,
Gdyby nie wicher, ten wróżbita burzy,
Co za oknami tak strasznie szeleści
I, przeciskając się w te ściany moje,
Jakoweś budzi strachy, jakieś niepokoje...

Prawdopodobnie — zdarzyć się to może
Chyba każdemu: nikt nie jest jedyny —
Najmniejszej nie mam do trwóg tych przyczyny
I ta szaruga, siekająca na dworze
Biczami deszczu obnażone drzewa,
Tak samo dzisiaj hymn złowieszczy śpiewa,
Jak kiedyindziej w tej zimowej porze;
A jednak, jednak — coś ja, widzisz, zrobię,
Że właśnie dzisiaj z trwogą rozmyślam o tobie.

Twoje milczenie, tak dziwnie uparte,
Winne jest temu, że w czas ten ponury
Przy rozszalałych organach wichury,
Tracę widzenie świtów, wieczną wartość
Mających spełniać przy szczęśnem twem jutrze.
Twoje milczenie — oby jak najkrótsze

Było na przyszłość! — sprawia, że tę kartę
Pamiętnikową wypełniać dziś wolę,
Miał wróżbę dni rozkosznych, troską o twą dolę.

Cóż, że w tej chwili, wśród tego wieczora,
Stała nagle twa postać przedemną
Z takim uśmiechem na wargach, iż ciemną
Przeniknął przestrzeń zbawczy błysk, a zmora,
Tak czelnie dzisiaj memu wnętrzu bliska,
Pierzchła, jak zbędne pierzchają zjawiska?
Cóż, gdy w te tropy i ty nazbyt skora
Znikłaś, w mgieł nocnych otulona chusty,
Lęk jeszcze większy rodząc w mojej izbie pustej?

Przeto mi odpisz, przyjaciółko droga,
Czy towarzyszy ci szczęście niezłomne —
Boć, bez potrzeby, zawsze o tem pomnę,
Jak w ślad radości lubi wlec się trwoga:
Śmieszny komunal? Nieprawda? Niech będzie!
Lecz ty mnie poucz w najdrobniejszym względzie,
Czy się twa wiotka nie zraniła noga
O glaz przydrożny? Czy z cierniami w walce
Nie krwawią się po róże sięgające palce?

Tyle nas dzieli mil, a i zapewne
Świat też niejeden stanął między nami,
Co cień swój rzuca na słońce i plami
Jasność poranną, przeto mą królewne
Proszę złocistą, by mi jak najwcześniej
Raczyła donieść, czy rozkosznej pieśni
Młodego życia dźwięki światłosiewne

W niepokalanej swej czystości rosną,
Czy nic im dziś nie mąci tęsknoty za wiosną.

Podobno lubisz samotność — ustronie
Zamkniętych parków, strzegących dworzyszczu
O opalowych szybach, gdzie się błyszczy
Odblask żywota, który już nie płonie
W rzeczywistości?... Podobno też, słyszę,
Wtulona w murów staroświeckich nysze,
Z taką rozkoszą zatapiasz się w dzwonie,
Głoszącym wieści z umarłego świata,
Że ciało twe się z prochem i nicością brata?

To źle!... Dlatego, świadom twej ekstazy,
Mam prawo pytać, czy w te dni ostatnie,
W posępnych dumań uwikłana matnię,
Nie byłaś w onej alei, sto razy
Przez cię zwiedzanej, gdzie w kurniawie szarej
Wicher z łomotem gnie nagie konary,
I czy na trzask ten, jakby na rozkazy
Bezwzględnej śmierci, śmiejącej się z marzeń,
Twe serce nie konało z niewczesnych przerażeń?

Ale naprawdę! Pocóż temi słowy
Śmiem dręczyć ciebie, kiedy pewien jestem —
To znaczy, prawie pewien —, iż szelestem
Tej rozpasanej zawiei styczniowej
Nie twe, lecz moje przestrasza się wnętrze...
Więc tylko poślij mi nowiny, prędsze
Od snów, czy sny twe, zrodzone z umowy
Gdzieś, jakoś, kiedyś zawartej, są jeszcze
Pełne mocy, rodzącej wielkie życia dreszcze.

O co innego mi idzie... Mówiono
Nieraz mi o tem, sam też kilkakrotnie
Z ust twych wysnułem, gdyś moją samotnię
Nawiedzić przyszła, że się twoje łono
Trapi grzechami, których nie spełniło,
I że się lękasz, ty przemożna Siło,
Aby cię słabość nie zmogła... Tak pono
Zaciemnia świat się twojego żywota,
Widnokrag, poza którym gaśnie zorza złota.

Powiadam „pono“, bo choć tak swobodnie
Piszę do ciebie i choć mi wypadło
W szczęśliwej chwili zaglądnąć w zwierciadło
Twej słodkiej duszy — a! dni i tygodnie,
Miesiące odtąd minęły! —, ja przecie
Nie mam pewności, czy cię znam... Kobięcie
Ufać nie można!... Lecz tobie?... Zachodnie
Nad głębinami mórz świecą się smugi,
Po słońcu, które ginie, cień się błąka długi.

Tak! ja cię nie znam! O tak! ja dokładnie
Nie wiem, kim jesteś i czym jest twa dusza?
Żadna mnie zresztą ciekawość nie zmusza
Zapytać siebie, jak mój sąd wypadnie,
Jeśli się bliżej twym oczom przypatrzę.
Zda mi się tylko, że jesteś najrzadsze
Ze źródełsk bożych, co blaski ma na dnie
I na powierzchni swoich wód, że krasie
Nic twojej nie dorówna... Tak brzmi to me „zda się“.

Cóż ono znaczy? Nic! Nic! Przywidzenie,
Płód niedojrzały zbudzonej tęsknoty,

Uragający rozsądkowi; złoty
Omam wieczornych mgieł, których promienie
W niesamowitem stają się pustkowiu
Wilgotnym, martwym ciężarem ołowiu
Prędzej, niż człek się spodziewa... Nie cenię
Swojego „zda się“, a dziś przez nie właśnie
Jest we mnie święty ogień, co snąć nie zagaśnie.

Więc się też nie dziw, że jeśli od ciebie
Idzie ten ogień, twórczy ogień boski,
Coraz to większe gniotą mnie dziś troski
O skarb jedyny, który tak się grzebie
W mrokach milczenia, tylko — oczywiście,
W bardzo serdecznym, w bardzo długim liście —
Co tchu mi donieś, na jakim się chlebie
Duch twój pożywia i czy w stóp twych ślady
Niezlomne kroczy szczęście bez fałszu i zdrady...

WOLAŁBYM Z TOBĄ POMÓWIĆ.

Wolałbym z Tobą pomówić, rzecz prosta —
Wargi masz bowiem pełne wdzięku, zwłaszcza,
Gdy z nich przyjaźna zacznie płynąć chłosta
Na tę nieufność, co ludziom zachwaszcza
Ogrody szczęścia, co między dwa bliźnie
Wcisła się serca, jak zatruta stal,
I, urągając niebiańskiej puściźnie,
Dziecięcej, słodkiej wierze, rodzi lęk i żal...

W godzinie zmierzchu, albo, rzeknę raczej,
W chwili, gdy słońce zaledwie dosięga
Tych drzew dalekich, których rząd majaczy
Przed mą źrenicą w skrach jego półkłęga —
Druga połowa zapada już w ciemną,
Milczącą głębię — tak jest, w taki czas
Zmagają żywota usiadłabyś ze mną
Na wzgórzu tem, czerwonym od ostatnich kras...

Lub poszlibyśmy razem, o, tą drogą,
Którą już pomrok zbyt wczesny zacienia,
Choć burty rowów jeszcze się nie mogą
Otrząsnąć z resztek promiennego drżenia...
Trakt to szeroki i długi: bez końca,
Widać, się snuje, wiedzie w środek zórz,
Oplakujących ogniami śmierć słońca,
Złocisty na grób jego strząsających kurz...

Krocząc tą drogą — dokąd, mniejsza o to —,
Gwarzylibyśmy, wzięwszy się pod ręce,
Jak dzień nasz kona, upowity w złoto,
I jak potrzeba zachować dziecięce
Twory swej duszy, czarodziejską baśnię
Wiary, co winna nam świecić po wiek,
Złudę nadziei, co czuwa, choć zaśnie
Szczęśliwość, którą biedny spieszy grzebać człek.

Ku zachodowi zwróceni obliczem,
Pełnem rumianej, przejrzystej pogody,
Szeptalibyśmy, iż życie jest niczem,
Gdy ból je stargał i że będzie młody
Duch nasz, jeżeli, pomny prawdy starej,
Którą wyczytał z zapleśniałych kart,
Odtrąci wszelką rozterkę, ofiary
Nie szczędząc dla spokoju, co — śmierci jest wart...

Byłoby jeszcze lepiej, dni twej wiosny
Mając na oku, co zaledwie wczora
Rozkwitła pełnią wonnych róż w radosnej
Chwili dojrzewan — przedziwna to pora,
Budząca zazdrość w popiołach — tak, jeszcze
Byłoby lepiej, z słodyczą u warg,
Gwarzyć nam o tem, jak rozkoszne dreszcze
Dziecięcych snów nie wchodzą z jawą życia w targ...

I jakie miałaś lalki, jakie stroje
Lubiły dla nich szyć twe wiotkie dłonie
I jak tęsknicie spoczywały twoje —
I me — na krążkach fali, na koronie
Polnego kwiatu, na skrawym owadzie,

Co wśród rozległych zamigotał rżysk,
I jak się żyto pod gradami kładzie,
By odżyć, skoro załśni pierwszy słońca błysk...

Prawda, nie zawsze odżywa — najczęściej
Ginie. Lecz patrząc na ten ogrom klęski,
Pocóżby człowiek miał zaciskać pięści
I grozić Bogu, czy losom? Zwycięski
Będzie li spokój, jeśli z nim widząca
Złączy się ufność, iż, gdy zagaśł dzień,
Noc się zapala od planet tysiąca,
Że — wieczność nie przytłumi swych ożywczych technię.

Te pospolite, te powszednie sprawy,
W tem zwykłym, prostym wyrażone słowie,
Wypełniłyby nam ten zmierzch złotawy,
Cienie siejący na wielkie pustkowię,
Gdybyśmy dzisiaj, niby para dzieci,
Szli sobie razem środkiem drogi tej,
Szerokiej, długiej, ponad którą świeci
Nadzieja gwiazd, co z czarnych wylania się kniej.

Lub w tej komnatce siadłabyś — najcudniej
Tu, przy tem oknie, przy którym, w twe oczy
Zapatrzon, rzekłem ci kiedyś, iż grudni
Mroźnych nie lękam się, ni żadnych mrocy,
Przesłaniających ostatni kres życia,
Taki z tych źrenic bije żar i blask,
Taka zapowiedź duszy, co, z ukrycia
Wyszedszy, rozdawczynią jest wysnionych łask.

I dzisiaj znowu mając je przed sobą,

Te dwa błękity głębokie; to czoło,
Promieniejące zadumy ozdobą,
Ściskając w dłoniach, radbym ci wesoło
Powtórzyć, słuchaj, jak zbędne są troski,
Któremi ludzka morduje się brać —
A i my również —, bo ten-ci już boski
Padł wyrok, że się stanie to, co ma się stać...

A czy się stanie tak, czy też się stanie
Inak, któż o tem myślałby i na co,
Gdy narodziny dnia i dnia konanie —
O ty spokoju i ufności płacó! —
W jednych spełniają się ognia, jednaki
Oczarowanym oczom tworzą cud
I kiedy jutro wszystkie świata szlaki
Wić będą się tak samo, jak się wiły wprzód!

Takbym chciał z tobą pogwarzyć, ty słodka
Moja otucho! Słowem, co jest raczej
Staroświeckiego szumem kołowrotka,
Przy którym Parki, zdala od rozpaczy,
Nić swoją przędą, albo też szelestem
Drzew, bądź zyskują liść, bądź tracą znów,
Chciałbym ci rzeknąć, że czy powiem „jestem“,
Czy „byłem“, czy też „będę“, to różnica — słów!...

O, tubyś siadła, tu, pod tym obrazem,
Lub przy tych kwiatach — pełno ich w mym domu,
Odkąd krewieństwo-m znalazł między głazem,
A między sercem, mrącem pokryjomu,
Lub radującym się jawnie i głośnie
Z nieugaszzonej tęsknoty za dniem,

Gdy w ludzkim wnętrzu taki kwiat wyrośnie,
Co będzie czemś naprawdę, ni dobrem, ni złem.

Takbym rad z tobą poszeptać — nurtami
Rozfalowanej, jednak cichej rzeki,
Gdybyśmy dzisiaj siedzieli tu sami,
Jak siedzieliśmy niedawno, w daleki
Przestwór wpatrzeni. Tu, przy ksiąg tych zbiorze,
Zawierającym źródła ludzkich chwał,
Gwarzyłbym wiatru powiewem, co może
Wraz zmiłknąć, gdybym dziś tu, w ten wieczór, cię miał...

Ale cię nie mam, więc ci list ten piszę,
Nie wiedząc wcale, czy dojdzie, bo nie wiem,
W jaką się teraz zagrzebałaś ciszę
Przed nieustannie palącym zarzewiem
Samobiczowań, którem się mieszkające
Martwego świata — nie! nie! żyw jest on —
Wciąż obsypują, wciąż stawiając szanice
Podejrzeń, by z poza nich widzieć tylko skon —

Lecz jeśli dojdzie cię to pismo, proszę,
Wprzód je odczytaj pilnie i z miłością,
Bo w niem się drogie odbiły rozkosze,
Które, że tak się wyrażę, są kością
Z twych, widzisz, kości, zrodzoną tej chwili,
Gdy mnie tęsknota rwie ku oczom twym,
A potem schowaj je za gors, od lilji
Jaśniejszy: twe to pismo, twój własny to rym!...

Wolałbym słyszeć twe słowa, rzecz prosta —
Wargi masz bowiem pełne wdzięku, zwłaszcza,

Gdy z nich przyjaźna zacznie płynąć chłosta
Na tę nieufność, co ludziom zachwaszcza
Ogrody szczęścia, co między dwa bliźnie
Wciska się serca, jak zatruta stal,
I, urągając niebiańskiej puszczynie,
Dziecięcej, słodkiej wierze, rodzi lęk i żal...

NIERAZ MNIE JAKAŚ CHĘĆ PORYWA DZIKA.

Nieraz mnie jakaś chęć porywa dzika,
Nie licująca z moich lat powagą,
By drewnianego dosiadać konika
I, bicz skręciwszy z piasku, „prawdę nagą” —
Niechaj się ze mnie śmieje, kto ma wolę —
Obwieszczając bliźnim, żem jest jak pacholę,
Żem jest jak dziecko, co się z rąk wymyka
Swoim dozorcóm.

Tak było kilka dni temu: Chłopięta
Przybyły do mnie wiejskie i w te tropy
Poczęły skomleć: Czy pan też pamięta,
Co nam obiecał, gdy ostatnie snopy
Zwozili z pola do naszej stodoły?
Mówiłeś wtedy, że będziesz wesoly,
Że pomkniesz z nami, w ręką kawał pręta,
Na Szklaną Górę...

Więc dalej, w drogę!... I w cichej izdebce
Zawrzało życie, aż się trzęsły ściany:
Rozhukwały się młodziutki me żrebce,
A ja, wskazując na śniegiem owiany,
Błyszczący w słońcu wielki Wierch Lodowy,
Jąłem śpiewnemi recytować słowy
Dawną balladę, którą przy kolebce
Snać wam nucono:

„Na szczycie Szklanej Góry
Zakłęty zamek stoi,
Złoty ma zrąb i progi
Złociste u podwoi.

A w zamku, w złotej kaźni,
Jest harfa słodko-śpiwna,
Na niej swą pieśń odwieczną
Zakłęta gra królewna — —

Graj nam, królewno, graj nam!... Jestem pewny —
Dzisiaj, po latach, bardzo dobrze pomnę,
Żem w ręku księgę miał, gdzie hymn ten rzewny
Był drukowany: litery ogromne,
Jakby dla starców, którym oko rwie się,
A zaś dopisek drżał na marginesie:

„Taka jest pieśń tej zakłętej królewny,
Słuchaj, rycerzu!“ —:

„Przedziwną mam urodę
I skarbów pełne skrzynie,
A życie me w tęsknicy
Niewysłowionej płynie.

Na harfie słodko-śpiwnej
Rozpinam biedną duszę,
Serce się rwie do świata,
A w kaźni wędnać muszę.

Zbierają się rycerze
U zbocza Szklanej Góry,

Szum idzie od ich skrzydeł,
Szum dźwięczny, srebrnopióry.

Śpiewają mnie, królewnie,
Zakuci w stal minstrele,
A ja z swych szat kosztownych
Strząsnęłam już wesele.

Wielbią te moje oczy,
Mleczno-różane lico,
A usta im moje wtórują:
O żalu! o tęsknico!“

Że też nie można radości dziecięcej
Oszczędzić smętku, który swe przedziwa
Październikowe rozsnul w stotysięcy
Jedwabnych włókien po rżyskach... Szczęśliwa
Niechaj godzina wiedzie me klejnoty,
Dziecięta ludzkie, tam, na szczyt ten złoty,
Gdzie do rycerzy, których coraz więcej,
Śpiewa królewna:

„Zepnijcie ostrogami
Bojowe swe rumaki
I ku mnie, ku królewnie,
W te wyżne lećcie szlaki.

Szklaną się bierzcie drogą,
Za głosem mojej lutni;
Złocista jabłoń rośnie
U zamku złotych wrótni.

Złocista rośnie jabłoń,
Hyrny jej sokół strzeże,
Kto zdoła zerwać owoc,
Ten moim, o rycerze!

Mam skarbów co niemiara
W zaklętej mej komorze,
Do skarbów i do duszy
Na oścież drzwi otworzę.

Zepnijcie ostrogami
Bojowe swe rumaki
I ku mnie, ku królewnie,
W te wyżne lećcie szlaki!"

Zaś ta królowna — przypominam sobie
Drugi dopisek na obrębie karty
Kochanej książki, którą kazał w grobie
Pochować razem z swem sercem uparty
Druh mój —

„Królowna ta miała koronę
Z złocistych włosów i usta spłonione,
Jak najgorętsza miłość“.

Cóż ja zrobię,
Że na te czary

„Zwarli się w szyk rycerze,
Pną się na górę szklaną;
Kirysy polyskują,
Konie parskaą pianą.

U ramion skrzydła szumią,
W ręku ogniste miecze,
A Śmierć — — —

Szaleństwo: że też musi wszędzie
Wciskać się trupie to widmo, ta z mora,
Która spokoju dawać mi nie będzie
Chyba już nigdy!... Lub może jest chora
Ma wyobraźnia, że czepia się liści
Opadających, a słońcu zawiści,
Iż swe promienne rozsyła orędzie
Po suchych drogach?...

Patrzajcie! Wieśniak garście ziarn przesiewa,
Zatopion cały w tem starem rzeszocie;
Chmurą polotną oddziela się plewa,
Tęcze rozwiesza na słonecznem złocie;
Od gór, od ściernisk idzie powiew świeży,
Za nim, jak gdyby zastępy rycerzy
W omzach się niosą: szeleszczą im drzewa
I potok szumi — — —

„A Śmierć się za tym hufcem
Jak mgławcy tuman wlecze.

Po grobach, w szumiącym wietrze
Drży trawa szumno-śpiwna,
W zamku na złotej harfie
Zakłęta gra królowna.

Mija rok jeden, drugi
I siódmy już nadchodzi —

Gdzie wy, orłowie moi,
Gdzie wy, rycerze młodzi?

Na wieki śpią w mogiłach,
Noc ich pokrywa głucha — — —

O nocy głucha!... Dziecięca zabawa
W jakieś koszmary zamienia się wraże,
Pochód ku słońcu pogrzebem się stawia,
Ginące lata, rosnące cmentarze
Ściany mojego wypełniają domu...
O słodkie dzieci, nie mówcie nikomu,
Że moja szkapa drewniana kulawa,
Żem puścił lejce — — —

A naokoło wre: „Czyż sami tchórze
Mają się mierzyć ze śmiercią? Czyż słabi
Ludzie zdobywać mają świat i w burzę
Ginać?... Nikt mocy z siebie nie wywabi“?...
Znalazł się jeden, zakochan w potędzie,
Albowiem w starej, pogrzebanej księdze
Oczom litery ogłaszały duże
Taki dopisek:

„Pieśni zakłętej królewny
Żak tylko prosty słucha“.

„Żak tylko prosty słucha,
Rycerny duch go niesie,
Poszedł w las ciemny, gęsty
I rysia ubił w lesie.

Krzepiste nogi i ręce
W rysie naodział pazury
I pnie się ku złotym blaskom,
Na szczyt tej Szklanej Góry.

Nie łyska na nim kirys
I koń nie bryzga pianą —:
Rysimi pazurami
Ryje się w Górę Szklaną.

Cóż mu spiekota słońca,
Dławiące coś pragnienie!
Ku wymarzonej królewnie
Serce go w górę żenie.

Obłoku, dżdżami syty,
Urągasz mu daremnie:
Na wierchu stanie promiennym,
Albo się zwali w ciemnie — — —“

To „albo“ w waszej, odwiecznej balladzie
Wielce jest śmieszne, gdyż wam, dobrzy ludzie,
Wiadomo wszystkim, jaki mrok się kładzie
Na ścieżki życia — znienacka, gdy w trudzie
Człek, zda się, doszedł pod sam szczyt... Napewne
Wiecie, że zginął ten, co chciał królewne
Posiąść zakłątą... Stanął mu na zdradzie
Skryty żleb śmierci...

Na szczycie Szklanej Góry
Zakłąty zamek stoi,

Złoty ma zgrab i progi
Złociste u podwoi.

A w zamku, w złotej kaźni,
Jest harfa słodko-śpiwna,
Na niej swą pieśń wieczystą
Zaklęta gra królewna...

POSŁOWIE TOMU XIV.

Utwory, zawarte w tym tomie, przedrukowaliśmy z pierwszego wydania „Chwil” z 1911 roku z całkowitem zachowaniem układu. Badanie autografów, które przeprowadził prof. Leon Płoszewski, nie wykazało żadnych odmian tekstu. Pierwodruki kilku utworów z „Lamusa” i krakowskiego „Miesięcznika literackiego i artystycznego” nie odbiegają również w niczem od tekstu zbioru. Daty tych pierwodruków podajemy, jak zwykle, w spisie rzeczy.

Niektóre z tych utworów oddają nam przeżycia poety z czasu odwiedzin Szymborza, latem 1910 roku, inne wiążą się z po-
bytem we Włoszech, kilka utworów w ostatniej części zbioru to listy poetyckie do przyszłej żony, Marji.

Z małemi wyjątkami wszystkie utwory z „Chwil” wskazują na wyjście poza styl sztuki symbolicznej ku nowej drodze, większej prostoty i bezpośredniości. Z wyjątkiem paru listów, jak n. p. „Cicho za nami sunie cień żywota”, przypominających w oddawaniu uczuć złożonych, sprzecznych długimi okresami po-
wolnem tempem, i spletaną przez „enjambements” rytmiką takie utwory wcześniejsze, jak „Nie zgasłaś pieśni” lub „Ciche samotne rzędy wierzb” — kompozycja większości liryk z „Chwil” jest prostsza i przejrzysta. Przejrzystość i doskonałość kompozycji, bezpośredniość i szczerłość czynią na nas wrażenie wielkiej prostoty.

Michał Pawlikowski we wspomnieniu, napisanem do mającej

się ukazać Księgi pamiątkowej Kasprowicza, przytacza treść rozmowy z poetą na temat formy, z okazji utworów przeznaczonych do „Lamusa”. Poeta mówił mu, że nie przywiązuje teraz wagi do formy, że pisze „byle jak”, nade wszystko stawiając szczerść i prostotę. Wyznania te są bardzo znamienne dla postawy poety i... dla tych złudzeń, jakim podlegają mistrze, zdobywszy łatwość wyrazu, a z nią poczucie zupełnej swobody.

Wrażenie prostoty „Chwil” jest w znacznej mierze wynikiem wysokiego kunsztu zebranych tam utworów i mistrzowskiej ich kompozycji. Książka składa się z trzech części. Pierwszą stanowią przeważnie krótkie wiersze liryczne. Ich różnorodność artystyczna rzuca się w oczy dopiero po bliższem przyjrzeniu się ich budowie stroficznej. Jaki konsekwentnie przeprowadzony kunszt, jaka finezja w rozmieszczeniu rymów i całej kompozycji w tym napozór wolnym, bo zmiennym płynącym rytmem wierszu „Zamykam oczy”! W niektórych li-rkach powtarzaniem tych samych słów w każdym pierwszym wierszu zwrotki, w innych nawrotem w końcu wiersza do początkowego motywu, nadaje wrażenie płynności muzycznej utworom. Na drugą część składa się cykl sonetów, obejmujących nie tylko szeroko skalę treści i nastrojów, lecz różniących się rozmieszczaniem rymów w ostatniej parze trójwierszy. W trzeciej i ostatniej części mamy „listy, małe poematy, o kunsztownej budowie stroficznej. Jest to więc prostota szczerści, prostota jasności, prostota celowości i subtelności środków lecz bynajmniej nie ograniczenia i abnegacji. Jak każde dzieło Kasprowicza, „Chwile” są wyrazem nowego twórczego wysiłku, nowym etapem twórczości.

Oto złota, pełna wazkich owoców jesień poety. Krzepka, więc rozmiłowana w kształtach życia zmysłami i duszą; cicha zrozumieniem miłości, pełna cichego smętku zbliżającego się po-
żegnania.

S. K.

SPIS RZECZY TOMU XIV

I

	Str.
Snuje się wiatr po polu	7
Kopice siana po łąkach	8
Gdy przyjdzie czas	9
Zasnęły się senne góry	10
Chłop pokrzywiony, siwy	11
Kilka chałup, kilka stodół	12
Zamykam oczy (pd. Lamus 1910 r.)	13
Z dalekiej wracam dziedziny	19
Niedawno wyszedłem o świcie	20
Nie wrócisz do mnie	22
Tak jest, moi drodzy panowie	23
Co się to dzieje! co się to dzieje!	25
W ludne wyrrywam się kraje	26
Cóż wam to szkodzi	27
Pamiętam te piaski nad wodą	29
Słyszałem głośny płacz ludzi	31
Czekałem na ciebie wczora	33
Nad książką nachylony	34
Zbudź się, dziewczyno, z snu (pd. Miesięcznik literacki i artystyczny 1911 r.)	35
Z zawiązanymi oczyma (pd. tamże 1911 r.)	37

II

	Str.
A czegoż jeszcze chcecie?	41
Nie wstydę się.	42
Dzień mamy strasznie mglisty	43
Przy studni	44
Za wszystko jestem wdzięczny	45
Z osiki-m wyciął łaskę	46
Wiem: słońce jutro wszędzie	47
Nad morzem, raz w południe	48
W dzień, szary beznadziejnie	49
Już spełnia się przemiana	50
Co? Prawda? Więc to lustro nie kłamie?	51
Dlaczegoż to ma człowiek dźwigać bez wytchnienia	52
O was mówię, gdy mówię o sobie	53
Szczęść Boże, o szczęść Boże wam, zbożni oracze!	54
O sobie żem ci nigdy nie dał ani znaku	55
A jednak chciałbym jeszcze pójść pomiędzy ludzi	56
Od drzwi tych nie odejdę	57
Pszeniczny snop	58
Z rozkoszą dziś wypilem ten kieliszek wina	59
To tylko sen	60
Nie pierwszy raz ci mówię.	61
O góry! góry!	62
Zaprzeczyć praw zwierchnicznych	63
Kochany psie.	64
Czy ślepnę	65
Głupi tylko ma pewność.	66
I znowu pada, sypie mokry śnieg	67
Uwolnięz ja się kiedy z tych pęt?	68
Zwaliska lubię twoje i twe wino lubię	69
W mroczny zakątek tumu	70

Str.

Kosmaty faun za nimfą biegnie jasnoudą	71
Tu, pod tym z trawertynu żółtym architrawem	72
Posejdon srebrnołuskie zwołuje delfiny	73
Skąd płynął głos ten smutny?	74
Oddzielił się daleko od swych towarzyszy	75
Kapłanka boża, Mamja	76

III

Wczoraj o zmierzchu (pd. Lamus 1908/9 r.)	79
Śmieszni jesteśmy wszyscy (pd. tamże 1908/9 r.)	82
Złocistem winem czarę napelnioną	88
Oto wieczorny zmierzch	93
Cicho za nami sunie cień żywota	99
Ma przyjaciółko, pytasz się, co robię?	105
List twój ostatni	108
Ani ty duszy swej nie rzucisz psom (pd. tamże 1910 r.)	113
Dawno mi żadnej nie przysłałaś wieści	118
Wolałbym z tobą pomówić (pd. Miesięcznik literacki i artystyczny 1911 r.)	123
Nieraz mnie jakaś chęć porywa dzika	129

POSŁOWIE TOMU XIV.